

ALTINO DO TOJAL

**WESELE STU TYSIĘCY
BARBARZYŃCÓW**

TYTUŁ ORYGINAŁU: BODAS DE CEM MIL BÁRBAROS
PRZEKŁAD: IRENEUSZ KANIA

Altino do Tojal 
**WESELE
STU TYSIĘCY
BARBARZYŃCÓW**



WYDAWNICTWO LITERACKIE KRAKÓW 1980

CZEŚĆ PIERWSZA

Figulus

Czy wiecie, że na Wzgórzu Awentyńskim w Rzymie znajdowała się świątynia wzniesiona ku czci Diany, bogini Księżycy, której święto przypadało na Idy sierpniowe? Otóż tam właśnie, w złotym półmroku, przy blasku świec wotywnych Westalka powiła pięcioro szczeniąt; patrzała na to okiem dobrotliwym bogini, okiem zaś nieprzychylnym (biedne zwierzę!) Figulus, dla którego wydarzenie to było przestępstwem.

— Będziesz dowodził legionami — objawił swego czasu Figulusowi pewien astrolog egipski, czytający w firmamencie.

Figulus promieniał, nieświadom jeszcze, iż wspomniana wyżej zbrodnia nie tylko potwierdzi horoskop, ale i rozwiąże jedyny problem, który mógłby przysporzyć kłopotów Imperium.

Przestępstwa takie bardzo częste są w gminach, gdzie wałęsają się psy; jeśli wszakże sędzia jedną trzecią swego czasu spędza na wrywaniu włosków z nozdrzy i wydłubywaniu woszczyzny z uszu, drugą — na przetrząsaniu Rzymu, gotów do wyprucia flaków szczekającym czworonogom, a resztę na rojeniach o rzeczach wielkich — to — stop! — zakładając, że wykroczenia owe są nader poważne — karą za nie musiało być zawsze wrzucenie w głębinę Tybru.

Z jakiegoś tajemniczego powodu Figulus nienawidził psów. Wymykał się nawet z walk gladiatorów, tej radości ludu, aby mordować psy ciosami włóczni. I taką w tym wykazywał gorliwość, że — słuchajcie! — w owym czasie błąkał się po Rzymie już tylko jeden pies, a raczej szczenna suka — Westalka.

W noc porodu (Luna przemyka wśród chmur) Figulus wypada ze świątyni Diany z włócznią w dłoni i workiem z nowo narodzonymi szczeniętami na plecach; sunąc po krętych uliczkach triumfalnie przyzywa rzekę. Krew mu cieknie z rany po ukąszeniu, sądził bowiem, że będzie miał do czynienia ze zwyczajną suką, a musiał stawić czoło matce. Otóż i ona — smutna wlecze się z trudem w ślad za nim, krwawiąc obficie z licznych ran od włóczni; w jej oczach niemal już pozbawionych blasku odbijają się wizerunki dzieci...

— Biedaczka — mruczy Figulus z fałszywym współczuciem. — Po cóż jej było rodzic te stworzonka już oddane wodzie, po cóż jej było!

Niechby jeszcze głos kota, sowy, kanarka, świerszcza, nawet słonia; ale głos psa... Westalka na szczęście konała. Od chwili gdy utonie jej potomstwo, żadne wycie nie będzie już spowijać omroka rzymskich nocy.

Narasta pojękiwanie osi, żagwie miotają blaski. I cóż to widzi Figulus, chybotającego się powoli na nierównych płytach, pomiędzy ciasnymi ścianami? To wóz zaprzężony w woły, wyładowany eukaliptusem; wlecze się po ziemi jego listowie.

— Drzewo dla boskiego Sarcasticusa — oznajmia najstarszy spośród wieśniaków, unosząc żagiew ponad zestrachane pyski; jest niespokojny, bo złoczyńcy rabują i mordują każdego, kto nie jest człowiekiem imperatora, Figulus zaś niewielkie wzbudza zaufanie. Czyż twarzą nie wykrzywia mu złość, a jego włócznia nie jest skrwawiona? Czyż lędźwi nie obija mu jakiś worek?

Wóz staje. Zgięty Figulus uśmiecha się: czuje, jak pieski szamocą się w worku. Do uszu jego dochodzi głos słonia.

— Słuchaj... — rozkazuje najstarszemu spośród wieśniaków. — To słonie. Biedne

zwierzęta! Łakną sławy. Stary niewolniku, wróg przeniknął do miasta: jego imię to gnuśność! Czy legionieści nadal próżnują? Powinni walczyć z nim! Ach, gdybyś ich widział!... Zniewieściali, otyli, czkają sobie łagodnie po tawernach... Co powiesz, niewolniku?

— Boski Sarcasticus to nawet płacze — informuje wieśniak.

— Płacze?!

— Płacze. — Wieśniak przybliży się, zniża głos: — Mówią, że już całkiem skapcaniał...

— Co mi powiadasz?!

Wieśniak przytyka palec do czoła:

— Mówią, że imperator jest coś nie tego. Słyszałem to od Sporusa, syna Artysty.

Oczy Figulusa zabłyśły:

— Znasz Artystę?

— Mieszkam w pobliżu jego chatki. Wszyscy go poważają. Żywi się chlebem, miodem, serem i morwami. Mieszka daleko, w lesie sosnowym, ale gdyby zechciał, mógłby zamieszkać w pałacu imperatora i jeść mięso.

Nadal błyszczą oczy Figulusa.

— Znam go o wiele lepiej niż ty, niewolniku. Pewnego dnia oglądałem go przy pracy. Jakież to było cudowne! Stoją tam wszystkie znakomitości Rzymu, w marmurze i brązie... Boski, Liwia... Wczoraj omal nie zginałem zmiażdżony kołami wozu Liwii. Czy wiesz, jakie to nowe cudo zaczęło tworzyć dłuto Artysty?

Wieśniak odpowiada:

— Sukę. Sporus będzie...

Figulus podskakuje:

— Psa?! Artysta rzeźbi teraz psa?!

— Tak. Sukę. Sporus będzie wkrótce zaślubiony Klaudii, córce Rufina, i Artysta chce, żeby jego wnuki wiedziały...

Figulus natychmiast:

— Że niegdyś w Rzymie były psy.

— Właśnie.

Figulus pyta gorączkowo:

— A model? Gdzie Artysta znalazł psa, który mu służy za model? Nie ma już psów. Ostatni zdycha tam, w tyle; jego młode niosę do rzeki.

Wieśniak spogląda nań z przerażeniem:

— Tyś jest Figulus!

— Jestem, jestem. Odpowiadaj na moje pytanie: gdzie Artysta znalazł psa?

— Nie znalazł, Figulusie. Artysta uczniom swoim polecił szukać psów, ale nie znaleźli żadnego. Szukał ich sam, a także syn jego, Sporus. Znajdywali tylko koty. Artysta gardzi tobą, Figulusie. Wiesz, jak Artysta szanuje psy. Suka, którą odtwarza z pamięci w marmurze, długo wyła na płycie grobowca jego żony Silvii, na pustyni, daleko stąd. Wyła, aż zdechła. Dlatego Artysta pragnie uwiecznić ową sukę w marmurze. A teraz pozwól mi, bardzo cię proszę, zawieźć to drzewo do pałacu imperatora. Jest noc, nadciąga nawałnica. Przepuść nas. Oby bogowie chronili cię, Figulusie, stosownie do twoich zasług. Ja też nie lubię psów. Czynisz dobrze zabijając je. Gdybym miał czas...

Podczas gdy pojękiwanie wozu zaprzężonego w woły ginie z wolna wśród nocy brzemiennej teraz ulewą i błyskawicami, Figulus podejmuje swą wędrówkę w kierunku rzeki, badając dłonią wodne zasłony zwieszające się z popękanych ścian. Wyczuwa niebezpieczeństwo w potokach ulewy. Nigdy jeszcze tak gniewna noc nie chłostała Rzymu. Był w tym niechybnie gniew bogów; należało go czym prędzej przebłagać. Czym? Ofiarą z psów. Trakowie — ci to umieli współżyć z bogami; gdyby zaś imperator postarał się o psy na ofiarę — tuziny psów — może przestałyby się martwić próżniactwem legionistów; nareszcie mielibyśmy wojnę!

Biegąca wśród obłoków Luna posyła szybkie, kose spojrzenie w stronę tego niewiarygodnego skrawka świata.

— Wieczna Diano! — sarka Figulus, sieczony ulewą. — Kiedyż będę mógł zasypiać na poduszkach z łabędziego puchu, licząc upływające dni roku według imion mych niewolnic? Kiedyż będę mógł pić wyborne wina ze złotych kielichów i jeść pieczoną wieprzowinę nadziewaną świeżymi figami? Kiedyż nieść mnie będą w lektyce pośród tłumów zginających karki i słyszeć będę: „Salve, Figulusie, pogromco barbarzyńców, chwało Rzymu!”

Za nim wlecze swoje wnętrzności Westalka i wyje, prosząc o dzieci. Przejmująca to skarga, zdolna rozczulić kaktus — rozpaczliwy skowyt obrabowanej matki. Słyszając go, mru-ga porozumiewawczo do pomykającej ukradkiem Luny i rechocze z dzikiej uciechy. Gdyby nawet Westalka nie była śmiertelnie ranna, gdyby zdołała znaleźć towarzysza, to egzekucja nowo narodzonych dzieci wystarczyłaby, aby zniechęcić ją do następnych godów.

— Godów... podłych Gotów, okrutnych wojowników!... Barbarzyńcy!...

A jeśli...

Biegnie schronić się w jakimś portyku, wspominając z upodobaniem dawne cierpienia, aby tym lepiej nacieszyć się spodziewaną chwałą. I natychmiast wizja promieniejącego radością imperatora przysłania inną, ukazującą go przybitemo faktem, że zabrakło barbarzyńców, z którymi można by walczyć.

— Niech żyje Mars! — wykrzykuje, pijany dumą. — Będę dowodził legionami!

Nie zrzucając z ramion worka — to jego fortuna — Figulus z trudem zapala papierosa (czynność nader ważna), nawet nie rozglądając się ukradkiem na boki.

Już widzi się w toku kampanii. Siedemnaście słoni dźwigających wieżyczki bojowe trąbiąc stąpa ciężko przed frontem legionów. Za nimi maszerują łucznicy kreteńscy i procarze balearscy, otoczeni po bokach przez sześciuset kawalerzystów Glaucusa. Jako siła uderzeniowa kawalerzyści nawet nie umywają się do piechoty, ale Glaucus to mądry trybun, więc może uda się zdobyć jeszcze sześciuset jeźdźców numidzkich, zręcznie władających bronią poci-skową. A gdyby użyć także wozów bojowych?... Ma ich siedemdziesiąt — są lekkie, zwin-ne...” Zaprzężone w chyże konie, jeżą się ostrzami kos; oto mkną czyniąc zgiełk, są równie ważne jak słonie, skutecznością ustępują jedynie legionom — wielkiej potędze Rzymu. Legiony!... Czterdzieści tysięcy ludzi pochylonych pod brzemieniem ciężkiego sprzętu, lśniących metalem i potem, maszerujących na spotkanie nieprzyjaciela po tych równinach i wzgó-rzach!... I to zbrojne mrowie jest tak ogromne, że kłębi się od jednego krańca horyzontu po drugi (sztandary łopoczą na wietrze, skrzą się złotem orły); tak ogromne, że kurz, wzbijający się spod nóg słoni, kół wozów bojowych i kopyt jazdy tam na przedzie, opadnie, zanim z drugiego końca oddali nadleci zawodzące skrzypienie pierwszych wózków kucharzy. Figulus weźmie z sobą pisarza, aby utrwalał historię działań wojennych. Obozować będzie w pobliżu rzek i strumieni. Pomiedzy namiotami produkować się będą, zabawiając wojsko, magicy i zo-nglerzy, komiczne karły i olbrzymy połykające ogień. Należy zabrać tyle dziewcząt, aby nie mógł próżnować nawet najnędnniejszy z lekkobrojnnych, kiedy on, Figulus, najwyższy dowódca legionów, każe trąbić ze swego namiotu sygnał do orgii. Oczywiście sportretują go w marmurze — w tym samym bloku marmuru, z którego Artysta wydobywa kształt suki, co zdechła na płycie grobowej Silvii. Figulus pragnie być wyrzeźbiony razem z nią — jak prze-bija ją włócznią na wylot. Włócznia ma być z brązu. Dzieło to współzawodniczyć będzie z najbardziej podziwianymi rzeźbami. Pomnik wojownika, jedyny w Rzymie: FIGULUS TĘPI-CIEL BARBARZYŃCÓW. Jakaż chwała!...

— Mam cię, Figulusie, ty małpo! Umrzesz na krzyżu!

Papieros wypada z ust Figulusa i znika w potokach ulewy. Latarnia nocnej straży!...

Ale Figulus szybko odzyskuje panowanie nad sobą.

— Witaj, Trebazjuszu! — mówi z wielką pewnością siebie, w sposób komiczny mie-rząc od stóp do głów najstarszego rangą z patrolu. — Opowiedz, co słyhać. Boski Sarcasti-

cus nadal zniechęcony? Nieszczęśni ci nasi żołnierze! Biedny Rzym!

Zapala się błyskawica. Gdy legionieści krępują ręce Figulusowi, widzi on wyraźnie w tym przelotnym blasku — lepiej niż przy świetle latarni — jak wychudłe oblicze starego pretorianina przybiera wyraz wrogości.

— Tym razem dopadłem cię, Figulusie, ty małpo! Będziesz wył na krzyżu, który już dawno kazałem dla ciebie zrobić!

Stojąc w deszczu Figulus pozwala się związać żołnierzom i rechocze z pogardą. Fakt, że patrol przydybał go na paleniu, był właściwie opatrnościowy, zawiedzie go bowiem przed oblicze imperatora. Boski, choć nietolerancyjny, nie tylko przymknie oko na wykroczenie, ale nawet wynagrodzi go za zbawienny pomysł.

Daje się słyszeć straszny grzmot, potem przeciągłe żalosne wycie, wyrażające czysty ból matczyny.

— Jesteś zwierzęciem, Figulusie!

— A ty bydłem, Trebazjuszu!

— Zostaniesz ukrzyżowany, zbój!

— A ciebie oddadzą Selourosowi, handlarzowi niewolników! Będziesz ozdobą ergastulum, ja ci to mówię! Mózg mało używany, prawie nowy...

Moknąc na deszczu, legionieści chłoną chciwie słowa sprzeczeki. Przy każdej błyskawicy okrywają głowy tunikami na podobieństwo demonów na szczycie góry, kiedy świta dzień.

Raz jeszcze w burzliwym mroku rozbrzmiewa tragiczny skowyt rozpaczającej matki; raz jeszcze Luna spoziera ukosem spośród chmur; wówczas — rozwścieczony stary pretorianin wydaje właśnie rozkaz maszerowania do pałacu — Figulus z udawaną pokorą prosi, aby zabrano od niego worek z psami.

Na to Trebazjusz, udając wspaniałomyślność:

— Weź worek od tego nieszczęśnika, Gawiniuszu.

Jeden z legionistów zarzuca sobie na plecy worek ze świeżo narodzonymi psami i wszyscy wśród ulewy ruszają ku pałacowi. Trebazjusz, z dłonią drżącą na rękojeści miecza, idzie na przedzie obok nosiciela latarni, mamrocząc projekty okropnych tortur. Figulus zakuty w łańcuchy, potykający się, nieszczęsny, rechocze z tyłu z oczyma chciwie utkwionymi w worek z psami — jak tamte, ale rozszerzone bólem oczy matki skowyczącej w ślad za nimi, wlokącej w rymsztoku swe wnętrzności.

Z gniewliwości nawałnicy bezczynny więzień wnosi, że przynajmniej jeden pies musiał jeszcze pozostać przy życiu. I z wielką pewnością siebie radzi wyniośle Trebazjuszowi, aby się miał na baczości, bo on, Figulus, to nie pierwszy lepszy obywatel: wkrótce wyśle w kampanię siedemnaście słoni niosących wieże bojowe, siedemdziesiąt wozów, sześciuset jazdy rzymskiej i tyleż numidzkiej, korpus procarzy balearskich, korpus łuczników kreteńskich i czterdzieści tysięcy legionistów — nie mówiąc o wieprzach, winie i dziewczętach.

Exodus

Sto Tysięcy Barbarzyńców nie wiedział — nie dowiedział się tego nigdy — że oprócz wielu milionów dolarów imperator Cajus Papirius Sarcasticus odziedziczył po Joachimie W. Sarcasthic także pewną ułomność, zdolną pchnąć każdego do najdziwaczniejszych szaleństw.

Już wówczas nikt, kto wspominał o godnym zazdrości spadkobiercy, nie mógł powstrzymać się od aluzji do nieboszczyka Sarcasthica i jego nie pozbawionej humoru delikatności. Joachim W. Sarcasthic był niegdyś ambasadorem Stanów Zjednoczonych we Włoszech, i chociaż jego działalność nie wpłynęła na zmianę stosunków między oboma państwami

mi — co było rezultatem całkiem zadowalającym — to przecież przyczyniła się do lepszego poznania starego Rzymu. Był on pełnym entuzjazmu dyletantem, namiętym badaczem. Przetraszał nawet tereny mające znaczenie archeologiczne. Słynna była jego kolekcja starożytności. Napisał oczywiście wiele książek, wygłaszał odczyty, w których audytorium przeważały bohatersko panny na wydaniu. Próżny heroizm. Joachim W. Sarcasthic potrafił uchylać się od zobowiązań, mimo iż nie brakowało mu różnych kłopotliwych sytuacji. W rozwiązłości przewyższyłby go łatwo pierwszy lepszy arcybiskup, dlatego też niektóre z zawiedzionych dziewcząt naszeptując podawały w wątpliwość istnienie w nim pierwiastka męskiego. Renata Magrizzima powiedziała mu to nawet kiedyś w oczy z gwałtowną i jadowitą pogardą, pośród skąpanych w blasku księżyca ruin Pompei.

Każdy na jego miejscu wycofałby się, przejęty wstydem. Ale Joachim W. Sarcasthic był Joachimem W. Sarcasthic. Jak zareagował? Zauważył chłodno, iż wnioskować o czyjejs impotencji z faktu zachowywania wstrzeźliwości jest usiłowaniem bardziej niedorzecznym niż spisywanie biografii poety w oparciu o wykaz jego długów. A co było potem? Cóż, potem Renata na tymże samym miejscu przyznała się do pomyłki. Nie ujrzała stosownego dowodu, bo zmarła przy porodzie, ciągle jednak towarzyszyło jej zażenowanie, gdy czuła, jak rozwija się on wewnątrz niej. Ambasador życzliwie uznał dziecko i zawsze się nim interesował.

— George ma przed sobą perspektywy — mawiał, a inni potakująco kiwali głowami.

Zaczynały się one ujawniać poprzez różne znaczące osobliwości — na przykład malec z wielką wprawą myślał po łacinie, zanim jeszcze ledwo gaworzył po angielsku. A ponieważ objawiał skłonności do szukania towarzystwa archeologów, jego promieniejący rodziciel wyrokował sentencjonalnie: „Parę tysięcy lat temu George byłby obywatelem harmonijnie zintegrowanym ze społeczeństwem”.

Trafne słowa. Choć mały Sarcasthic nigdy nie zdołał zapamiętać nazwy ulicy, przy której się urodził, mógł z zawiązanymi oczami zapuszczać się w kręte zaułki Rzymu cesarów — tak doskonałą zdobył znajomość jego topografii.

Pewnego jesiennego popołudnia w koledżu profesor matematyki zaskoczył go klęczącego, pochłoniętego kreśleniem skomplikowanej figury na ziemi troskliwie oczyszczonej z liści. W tym miejscu ożywiona dysputa wróbla na drzewach tłumiła wrzaski pozostałych chłopców.

— Che cosa estai facendo, Giorgio? *

Niegdyś, po wzięciu Syrakuz, tyleż samo uwagi poświęcił mądry Archimedes indagowaniu legionisty.

— A więc, chłopcze? — uporczywie i twardo pytał profesor matematyki. — Co to jest?

Tym razem dzieciak, zdaje się, usłyszał go. Wyglądało to tak, jakby powracał z daleka, bardzo daleka. Nadal na kolanach, spojrzał spokojnie na nauczyciela i odpowiedział, skupiając w swych źrenicach wielki wewnętrzny blask:

— Rzym! — I rozgadał się: — Niech pan spojrzy: tu jest Forum. Ta kreska to ulica Celerada, gdzie pędzący wóz Tulii przetoczył się po ciepłym jeszcze trupie Starego króla Servii. Przez tę bramę...

Taki był mały Sarcasthic. W dziwny sposób niepokoił wierny krąg kolegów szkolnych, którzy w cieniu buka słuchali, jak snuje epopeję bliźniaków, opowiada o porwaniu Sabineek, przejściu Hannibala przez Alpy albo zamordowaniu Juliusza Cezara. Wydarzenia te opisywał tak drobiazgowo, językiem tak barwnym i tak sugestywnie je oddającym, że można by powiedzieć, iż był ich naocznym świadkiem. Gdy następował koniec, wszyscy spoglądali po sobie z niesmakiem, jakby powracali do piekieł z wycieczki do Edenu.

Lata dojrzewania spędził pochylony nad zakurzonymi szpargałami, obok domniemanego popiersia Askaniusza, które odkopał ojciec. Książkowe badania przerywał tylko po to, by spojrzeć błyszczącym gorączkowo okiem przez okno biblioteki. Co pewien czas w przestwo-

* Co robisz, Jerzy? (wł.).

rzach huczał samolot; wtedy młody Sarcasthic podnosił okulary na czoło, zakładał ręce do tyłu i czując się nędznie oszukany, gniewnie krążył pomiędzy regałami.

Po pogrzebie Joachima W. Sarcasthica George zapalił fajkę, zainkasował całą fortunę, założył motykę na ramię; oto uwija się pośród ruin świątyń bez bogów, którzy zdegowani coraz większym ubóstwem ofiar płynnych i zwierzęcych, dawno już spakowali manatki i poszukali bardziej gościnnej planety. Odwiedzał je o dziwnych porach lub w czas srogiej pogody, gdy wiedział, że nie profanuje ich monotony bełkot przewodników ani idiotyczna paplanina zwiedzających. Kiedy indziej, rozgrzany jak wyrobnik machaniem motyką, pogrążał się w zamyśleniu, kontemplując zamierające refleksy słoneczne w perspektywie jakiejś oblanej krwistą czerwienią ścieżki.

A gdyby...

Oto wielka idea! W gorących słowach przedstawił ją tuzinowi zaufanych przyjaciół i wszyscy zabrali się z zapalem do pakowania walizek, postanowiwszy — u progu ery kosmicznej — żyć powolnym życiem ludzi współczesnych Neronowi.

* * *

Tysiące ludzi w pochodzie. Na początku było ich trzynaścioro. Wędrowne mrowisko, dowodnie świadczące, jak wielka jest liczba nie przystosowanych.

Kim są? Strażak, policjant, zdradzony mąż, rzeźnik, modystka, notariusz, agentka ubezpieczeniowa, elektryk, zakonnica, gajowy, fryzjer, mechanik, maszynistka, linoskoczek, dróżnik, prostytutka, drukarz, nauczycielka wychowania fizycznego, gazeciarz, sprzedawczyni migdałów, aktorka, kaznodzieja, złodziej kieszonkowy, pogromca ze swymi lwami i słoniami, zwykły poszukiwacz przygód, który wsiadłby pogwizdując do rakiety udającej się na kraniec firmamentu. Szczególnym poważaniem cieszą się architekci, kamieniarze, inżynierowie i cieśle.

Tłum prowadzi George Sarcasthic. Niekiedy podbiega, aby podeprzeć kogoś skrajnie wyczerpanego; wskazuje wtedy horyzont, zachęcając do dalszej wędrówki. Jeśli człowieka złamią trudy, sępy i kojoty natychmiast zajmują się jego pochówkiem.

O zmierzchu przed setkami namiotów tańczą płomienie setek ognisk. W powietrzu drżą struny gitar, dźwięczą głosy świerszczy i żab, zawodzi wiatr w gałęziach drzew, słychać niespokojne naszczekiwania.

Wczesnym rankiem podejmują wędrówkę. Ludziom osiadłym, spacerującym po ulicach i wyglądającym przez okna, którzy zapytują, czy powodem szczególnego exodusu jest wieść o jakimś nowym Eldorado, udziela odpowiedzi George Sarcasthic, przytaczając zadziwiająco obfite szczegóły na temat zakończenia wojny trojańskiej i projektów niejakiego Eneasza. Są tacy, co stukają się palcem w czoło, ale są i tacy, którzy za przykładem bezpańskich psów przyłączają się do wędrowców.

Ostatnie stacje benzynowe i słupy telegraficzne zostały już bezpowrotnie za nimi.

Rzym

Niezwykłe miasto wznosi się teraz na brzegach rzeki o mętym nurcie: Rzym, Rzym cesarów, Rzym Cajusa Papiriusa Sarcasticusa!

Rzym!...

Ci, którzy przeżyli exodus, po dotarciu na miejsce poświęcili się bohaterskiemu dziełu przekształcania gliny w mury, trawertynu w pomniki, marmuru w postaci herosów. I oto w

sposób cudowny dźwiga się miasto pośród wszystkich sławione: ulice, place, świątynie, termy, święte kolegia, szkoły gladiatorów, łuki triumfalne, akwedukty; przerzucone zostają mosty ponad ową rzeką — Tybrem — i rozpoczyna się budowę amfiteatru.

George Sarcasthic — a raczej Cajus Papirius Sarcasticus — kieruje pracami zachęcając opieszłych, nagradzając pracowitych. On sam z wielkim poświęceniem wykonuje różne ciężkie prace; można go zobaczyć, jak wbija ćwieki i dźwiga na grzbiecie gliniane misy; twierdzi — ponad miarę szczęśliwy — że jest to wyraz jego pojmowania świata.

Jedne za drugimi upływają lata pełne niewiarygodnych trudów, które pochłaniają setki robotników; ale miasto, co przyjęło triumfalnie wypędzonych bogów, wznosi ku niebu zarzysy świątyń i posągów, olśniewając majestatem i swoją wiernością wobec historii.

Cajus Papirius Sarcasticus, rozporządzający pełnią władzy, mieszka w marmurowym pałacu, odziewa się w purpurę, smakuje wyszukane potrawy, do ochrony ma gwardię pretoriańską, a do posług — apetyczne dziewice. Dostrzega już kres drogi wiodącej od kołyski do grobu, ale czuje się wynagrodzony: króluje w Rzymie!

Jeszcze przez lat kilka syci się bezwzględnym niszczeniem zdradliwych śladów. Sam dał przykład, gdy wrzucił był do Tybru fajkę i okulary. Aby utwierdzić cud, bije monetę z własnym wizerunkiem i wydaje edykt, na mocy którego każdy Rzymianin przyłapany na paleniu tytoniu lub picciu whisky ma być ukrzyżowany. Edykt ten, zwany. Edyktem Sarcasticus, karze też inne jeszcze obyczaje, mogące urazić przybraną epokę; jednocześnie wprowadza łacinę i grekę jako jedyne obowiązujące. języki. Nim uwiad języków rodzimych — wskutek ich nieużywana — oraz pokorna uległość wobec praw w sposób niedostrzegalny poczęły wypierać z większości umysłów wiedzę o rzeczywistości, powietrze napełnił odór paru ciał, zwisających z krzyżów.

W senacie dyskutuje się nad reformami. Nikt się nie dziwi, gdy jeden z *viri togati* proponuje zezwolić na wprowadzenie — tytułem eksperymentu — pewnej nauki rodem z nad Jordanu. Propozycja nie zostaje przyjęta tylko dlatego, że nikt nie wykazuje ochoty do pojawienia się na arenie amfiteatru z palmą męczeńską w dłoni. Kwitną jednakowoż zapasy gladiatorów, cechujące się znacznym rozlewem krwi. Kwadrygi powożone przez najsławniejszych mistrzów i ścigające się z hałasem po torach, przyprawiają tłumy o szaleństwo. Bachus i Wenera są bóstwami niezwykle popularnymi. Zadumani literaci zaś, błędzący po ogrodach, w których śpiewają ptaki, przez wzgląd na potomność zapisują na woskowych tabliczkach złote myśli, opatrując je takimi to a takimi datami *urbis conditae*, to jest *od założenia miasta*.

* * *

Aż do burzliwej nocy, kiedy to stary pretorianin Trebazjusz przywiódł Figulusa z jego workiem nowo narodzonych psów przed oblicze Sarcasticus, jedno tylko nieszczęście trapiło wskrzesicieli owego miasta wojowników: brak barbarzyńców, z którymi można by się zmagać ku chwale rzymskich orłów.

Wojna

Gdyby Sto Tysięcy Barbarzyńców dokładnie orientował się w tym wszystkim, zrozumiałby może entuzjastyczną radość starego imperatora, z jaką odniósł się on do sugestii Figulusa, i straszne wydarzenia, które potem nastąpiły.

Nie kończący się przemarsz wojowników — spoconych, lśniących, z nowiutkim ekwipunkiem. Oprócz czterdziestu tysięcy legionistów — obywateli rzymskich — jedzie tysiąc

dwieście jazdy rzymskiej i numidzkiej, kroczy siedemnaście słoń dźwigających wieżyczki bojowe (przerazający widok!), toczy się siedemdziesiąt hałaśliwych perskich rydwanów najeżonych ostrzami kos, maszeruje oddział łuczników kreteńskich i drugi — procarzy balearskich, a nadto pułki zaciężne; wloką się kupami cywile — włóczędzy, żywiący się byle czym, którzy towarzyszą zazwyczaj wyruszającym w pole wojskom jak zgłodniałe sępy; przechodzą magicy i zonglerzy, wesółkowie, fakir z węzem boa u szyi i olbrzym łykający ogień, ciągną prostytutki, markietanki i kucharze-specjaliści od przyrządzania wieprzowiny; jedzie podsłakując na wybojach pięćdziesiąt sześć skrzypiących wózków z ładunkiem. Jedzie też, oczywiście, literat mający spisywać epizody wojenne i redagować komunikaty dla Rzymu.

A nieprzyjaciel? Tak, co z nieprzyjacielem?... Wstrętny, obrzydliwy obwieś! Wyje, aż ciarki przechodzą. Co gorsza, nosi przyczepioną do głowy połówkę ludzkiej czaszki — coś na kształt straszego hełmu — z takimi oto słowami, wypisanymi po łacinie na kości czołowej, nieco powyżej pustych oczodołów:

STO TYSIĘCY BARBARZYŃCÓW

Sto Tysięcy Barbarzyńców nawet nie spostrzegł tego dodatkowego zeszpecenia. — Psi łeb jest właśnie taki — zakonkludował, zobaczywszy przypadkiem swe odbicie w kałuży, z której właśnie się napił przed podjęciem ucieczki. O wiele wcześniej zadomowiła się w nim pewność czego innego: istnieję, co w świetle rzymskiej epepei jest doprawdy czymś zgubnym.

I biedny Sto Tysięcy Barbarzyńców nawet nie zadaje sobie takiego oto pytania: czego ode mnie chcą? Dlaczego uniósłszy trąby, kołysząc uszami, rycząc, nacierają na niego gniewnie te ogromne pomarszczone bestie, tak ciężkie, że drży pod nimi ziemia? A tamte, o ciablach nie tak potężnych, lecz niezmiernie chyże, które znikają prawie natychmiast po ukazaniu się? A te, które ciągną po zakurzonej równinie toczące się pudła, czyniąc niesamowity zgiełk? I wreszcie, dlaczego powoli, lecz uparcie okrążają go inne istoty poruszające się w pozycji wyprostowanej, obłożone skórą i metalem, tak liczne, że — gdy spojrzeć z daleka — kolumna, którą tworzą, łączy jeden kraniec horyzontu z drugim?

Uciekać — ta myśl dominuje.

Gliniane kule warcząc muskają mu sierść; drzewo, pod którym zatrzymała go potrzeba oddania moczu, zmieniło się w najeżoną kolcami roślinę, tyle strzał wbiło się w nie ze świstem; włócznie wrzeszczących zwiadowców przeszywają cierniste zarośla, gdzie zmęczony schował się trwożnie z wywieszonym językiem. Potem marsowy łomot toczących się wozów bojowych, brutalne ryki słoń, tętent kawalerii, rytmiczne, nie kończące się stapanie czterdziestu tysięcy legionistów, rozgwar nawoływań nieporządnym gromad cywilów, wreszcie zawodzące skrzypienie powolnych ładownych wozów — wszystkie te wrogie dźwięki stopniowo ustępują świergotowi niespokojnego ptaka, szelestowi listowia poruszanego przez wietrzyk, terkotaniu cykad, miłemu szmerowi strumyka.

Niebezpieczeństwo odeszło...

Roześmiana czaszka bojowa wychyla się to z tej, to z innej przypadkowej kryjówki: z głębi dwóch pustych oczodołów dwoje przerażonych psych ślepiów bada chmurę kurzu i dopiero wówczas Sto Tysięcy Barbarzyńców ośmiela się wychynąć z ukrycia, przemykając chyłkiem trudno dostępnymi miejscami w kierunku przeciwnym do marszu legionów. Kłonią się pod nim wysokie paprocie.

Po zapadnięciu nocy Sto Tysięcy Barbarzyńców obserwuje z daleka obozowisko Rzymian, gdzie błyskają płomienie ognisk. Płyną stamtąd krzyki, wybuchy śmiechu, rżenie koni, podzwanianie metalu, zapachy jedzenia...

Jedzenie!...

Drapiąc się w szyję, Sto Tysięcy Barbarzyńców z zainteresowaniem wyciąga pysk ku czarnej, wygwieżdżonej otchłani, gdzie błąka się Luna. Wie, że dopóki ten uśmiechnięty krąg

bieleje tam, pośród drżących światełek, nie grozi mu niebezpieczeństwo: więc, ośmielony przez głód; znów przypada do ziemi, chowa głowę, jeszcze bardziej podwija ogon. Uruchamia łapy. Uciekał przez cały dzień!... Nie przełknął nawet muchy! Nawet pchły!

Na przybladłej ziemi ów wydłużony cień czyni tyleż hałasu, co ciało wlokące go za sobą. Coraz głośniejsze są wrzaski, głośniejsze ryki, śmiechy, rżenie, dźwięcznie uderzający o siebie metal... mocniejszy jest zapach jedzenia!

Nie nadeszła jeszcze pora sposobna do działania. Sto Tysięcy Barbarzyńców przysiada, drapie się w ucho, oblizuje z rozkoszą przed spodziewaną ucztą, znów z ciekawością wpatruje się w księżyc poprzez puste oczodoły swej czaszki wojennej. Ponad żółty, oslepiający, marsowy blask słońca przedkłada białą, łagodną i spokojną jasność Luny.

Wzdłuż fosy podrzemują oparci o swe włócznie wartownicy.

Sto Tysięcy Barbarzyńców zuchwale zakrada się do obozu wroga. Musi jak najszybciej coś zjeść. Gdyby nie to, nigdy nie zapuściłby się w owo okropne miejsce. Jakże niemiłym uczuciem jest głód!

Węsząc zapuszcza się pomiędzy namioty...

Czy grozi niebezpieczeństwo?...

Jakiś legionista nadchodzi wielkimi, chwiejnymi krokami. Niesie hełm napełniony winem, zatrzymuje się, aby chciwie podnieść go do ust, jak gdyby to był kielich. Opróżniwszy go, nasadza na głowę, robi jeszcze kilka niepewnych kroków i czyni zamaszty gest, nakazując milczenie chrapiącym. W pijackiej przemowie sławi Figulusa, największego z dowódców, najznakomitszego z Rzymian. Czyż nie pisze on codziennie do Rzymu żądając wieprzy, wina i dziewcząt? Oby bogowie mieli go w swej opiece! Figulus potrafi wynagrodzić biednym legionistom okrucieństwo wojny! To bohater! Zasługuje na zaszczyty triumfu! Dekurion Hirsutus uważa Figulusa za bohatera i sądzi, że należy mu się triumfalny wjazd do Rzymu! Czy ktoś jest przeciw?...

I kładąc dłoń na rękojeści miecza, dekurion Hirsutus, ogromny, z wielkim brzuchem opoja, toczy wokoło groźnym spojrzeniem: z kasku ściekają mu na dziką gębę krople wina. Sto Tysięcy Barbarzyńców przemyka się; i znęcony zapachem jedzenia. A może ten jest przeciw?... Ten!...

Dekurion Hirsutus naciera na Sto Tysięcy Barbarzyńców, siecze powietrze ciosami miecza, zatacza się groteskowo i rozciąga jak długi na ziemi z twarzą utyłaną we własnych wymiocinach.

Teraz: w namiotach i na zewnątrz nich wszyscy śpią, wszyscy chrapią, syci miłości i wina, pijani. Białe promyki słabo migoczą wśród żaru czerwieniejącego pod rzadkimi podmuchami wietrzyka.

Sto Tysięcy Barbarzyńców prześlizguje się cicho pomiędzy złączonymi w uścisku ciałami, pomiędzy tarczami, pękami włócznie, wozami, końmi, słoniami. Przy najlżejszym szmerze wstrząsa nim dreszcz, jeży mu się sierść na karku, i oto biegnie łypiąc na boki, z podwiniętym jak tylko można ogonem. Upewniony, że nic mu na razie nie zagraża, zatrzymuje się, jeszcze spogląda nieufnie i, natężając wszystkie zmysły, rusza dalej właściwym tropem. Niech no tylko pochwyli jakiś ochłap albo kość w miarę nie ogryzioną, a zaraz spiesznie oddali się od obozowiska, tak aby stracić z oczu te złośliwe ognie i w spokoju urządzić sobie ucztę pośród nocnej ciszy. Potem podrapie się w ucho, oblizze pysk, a jego smutne, tak żywe ślepiea zaczną się wpatrywać w Lunę poprzez makabryczne oczodoły czaszki wojennej.

* * *

Ale nie tylko Sto Tysięcy Barbarzyńców wymyka się chyłkiem z obozu, zanim wzejdzie słońce. Do Rzymu przybywają stamtąd szpiedzy na żołdzie starego pretorianina Trebazjusza.

Miasto ogarnia już rosnący niepokój. Utrzymanie legionów opróżnia z zapasów piwnice i gumna. Zaczyna brakować wieprzowiny, na ulicach niemal nie widać dziewczek; co gorsza, następują rekwizycje młodych i jeszcze ładnych mężatek z przeznaczeniem do służby frontowej. Wywołuje to objawy niezadowolenia, hamowanego przez pretorianów ciosami mieczów.

Szpiedzy Trebazjusza gorliwie rozpowiadają po ulicach o orgiach Figulusa, porównują patetycznie chudych obywateli ze wspaniałą tuszą wojowników. Wojowników?! Spluwając, szpiedzy Trebazjusza opowiadają jeszcze, jak to nieprzyjaciel zakrada się do obozowiska, jak przechadza się pośród nich niby zwycięzca pośród trupów, wreszcie — o, hańbo najwyższa! — obsikuje włócznie wartowników, a potem odchodzi z łupem.

Rzym słucha z oczyma rozszerzonymi głodem i zdumieniem i zaczyna powątpiewać w heroiczne posłannictwo Figulusa. Oskarża się go o niedołęstwo i kunktatorstwo. Głodni i zawistni łączą się przeciwko tym, którym Figulus obiecuje miejsce w szeregach, gdzie można się najęść, popić i użyć miłości. Na ulicach gromadzą się uzbrojeni cywile. Każdego dnia jest paru zabitych i wielu rannych.

Podnosi się *tumultus!*

Imperatora w pałacu niepokoi to preludium wojny domowej, aczkolwiek, przychyłając się do żądań Figulusa, nadal wysyła mu wieprze, wino i dziewczęta. W senacie są tacy, co proponują powierzenie dowództwa wojsk rzymskich Trebazjuszowi, żołnierzowi mądrymu i surowemu. Propozycję tę wysuwa sam Trebazjusz ustami swych stronników. Imperatora jednak wdzięczność, którą winien jest Figulusowi, wprawia w zakłopotanie. Czyż to nie Figulus wy dobył z mroku, w którym spoczywały, najświętsze insygnia Rzymu sprawiając, że załśniły w słońcu i załopotwały na wietrze ponad równinami i górami? Gdzie przed objęciem przez Figulusa godności konsula widywano tylu wojowników ciągnących na wyprawę i taką marsową okazałość?

Dopiero gdy znajdują posąg Cajusa Papiriusa Sarcasticusa strącony ze swego piedestału, stary imperator decyduje się na działanie, śląc do Figulusa — wraz z ostatnią partią wieprzów, wina i dziewczek — rozkaz niezwłocznego położenia kresu wojnie i powracania w chwale do Rzymu, pod karą objęcia przez Trebazjusza dowództwa legionów.

Spotkanie

Przedwczesne sieroctwo jest nieszczęściem, które w ofiarach swoich rozwija nawyk samotności i czyni je szczególnie wrażliwymi na strzały Amora. Sto Tysięcy Barbarzyńców dawno już odkrył, że posiada żołądek, i nie można powiedzieć, aby odkrycie to napełniło go entuzjazmem. Teraz odkrywa coś znacznie poważniejszego — już drugi rok trwa wojna. W tejże samej chwili, gdy zawiedziony Figulus czyta w swej wspaniałej polowej lektyce rozkaz imperatora, oszołomiony Sto Tysięcy Barbarzyńców uświadamia sobie, że bije w nim serce.

Od paru już godzin stara się zmylić pogoń siedemnastu słoni dźwigających wieże bojowe, siedemdziesięciu rydwanów wojennych, tysiąca dwustu kawalerzystów, czterdziestu tysięcy legionistów, oddziałów sprzymierzeńców i band cywilów. Słońce skrzy się na skałach i tylko poszum wietrzyku w gałęziach sosen i eukaliptusów jest dalekim i słabym przypomnieniem orzeźwiającego chłodu. Przed uciekinierem pomykają po rozgrzanej ziemi maleńkie drżące cienie, i widząc, jak majestatycznie wznoszą się ku górze z połyskliwym brzęczeniem barwne ciała, które je rzucają — śliczne motyle — wyczerpany Sto Tysięcy Barbarzyńców przystaje, aby podziwiać ich kapryśny lot i ubolewać nad swą ułomnością. Gdyby tak i on, bijąc wdzięcznie skrzydłami, mógł wznieść się na owe świetliste wyżyny, wysoko, bardzo wysoko ponad uparte go nieprzyjaciela... miast drzew, strumieni i zagonów zostawiając w dole

wierzchołki gór, chmury, gwiazdy...

Osaczony przez legiony, widzi nagle otwierające się przed nim drzwi jakiejś samotnej chaty. Wchodzi i staje zdumiony.

Pośród tłumu nieruchomych potworów wyróżnia sylwetkę białej suczki, wyciągającej swoją cierpiącą mordkę ku stropowi. Przeszywa ją długa dzida, a potwór, który ją zranił, jakby mu znajomy — wykuty w marmurze Figulus — zdaje się spoglądać na Sto Tysięcy Barbarzyńców wzrokiem pełnym złośliwego sarkazmu.

Nie pamiętający już o legionach, oczarowany Sto Tysięcy Barbarzyńców zbliża się merdając ogonem, ważąc się na coś w rodzaju jowialnego pozdrowienia:

— Hej!

Dotąd nigdy nie widział żadnego przedstawiciela swego gatunku.

Kaszłący starzec o długiej brodzie — Artysta we własnej osobie! — przypatruje się scenie.

— Podoba ci się, biedny zwierzaku? — Artysta złośliwie przymruża oko. — Aha! Pokaż jakieś sztuczki, zaprezentuj się, spróbuj ją uwieść, łobuzie!

Bo Sto Tysięcy Barbarzyńców, postanowiwszy nawiązać rozkoszny stosunek, już to pręży się jak rumak, już to skrada się powolutku z pyskiem przy ziemi machając żwawo ogonem i nie spuszczać z oka upragnionego stworzenia, zapraszając. Jest tak śliczna! Ach, gdyby przynajmniej dała się polizać, obwąchać!... Co za szczęście! Ale dlaczego zastygła w milczeniu, w pozie tak pełnej cierpienia?

Wzruszony Artysta nadal patrzy na niego. Barczysty młodzieniec — jego syn Sporus — i dziewczyna o bujnych, czarnych włosach — synowa Klaudia — idą w jego stronę. Wyczuwszy tę obecność, Artysta, nie odwracając się, powstrzymuje ich gestem dłoni. Jest rozrzuwniony, drżą mu wargi.

— Pragniesz suczki, biedaku? Uspokój się, jej rana nie boli.

Po pełnej zmarszczek twarzy Artysty spływa łza.

Niespodziewanie Sto Tysięcy Barbarzyńców robi skok i chwytą zębami, usiłując wyrwać, dzidę, przyczynę męczarni białej suczki. Nie może, choć próbuje kilkakrotnie. Wtedy wzbiera w nim straszna nienawiść do oprawcy. Warcząc, poczyną krążyć wokół niego ze zjeżoną sierścią. Czuje, że mógłby stawić czoło nawet słoniom niosącym wieże bojowe, których tak się boi, a cóż dopiero okrutnemu dręczycielowi jego suczki! Nikt mu nigdy tego nie mówił, ale wie, że należy mierzyć w szyję i że trzeba rozpruć tętnicę.

Artysta dostrzega tę nienawiść i podsycą ją:

— To Figulus, waleczny zwierzaku! Kąsaj! Kąsaj!

I Sto Tysięcy Barbarzyńców kąsa; podrywa się do potężnego skoku i kąsa z wściekłością, aby natychmiast potem wypaść na dwór skomlać, z zębem skruszonym, jak gdyby był ze szkła.

— Biedne zwierzę!

Artysta płacze.

— Ojczy! — synowa Klaudia tuli jego głowę do piersi, głaszcze długą brodę.

— Ojczy! — zaniepokojony syn Sporus wygląda przez okno. — Zbliżają się legiony! Widzę już słonie! Jaki kurz!... Trzeba wywieźć do Rzymu posąg Figulusa! Zabije nas, jeśli go tu jeszcze ujrzy!

Defilada

Z trybuny pałacowej Cajus Papirius Sarcasticus przygląda się triumfalnemu przemaszowi legionów.

Trebazjusz szepce mu do ucha, wysławiając obłudnie geniusz wojskowy Figulusa. Mówi, jak błyskotliwie poprowadził Figulus wojnę, i szczegółowo opowiada, jak poddał nieprzyjaciela upokarzającej ceremonii przejścia pod jarzmem, przed frontem legionów, oklaskujących go tak, jak teraz oklaskuje go Rzym; mówi o posagu Figulusa wystawionym na Forum ku powszechnemu podziwowi — największym dziele Artysty, pomniku o niezrównanej piękności. Wstrząsany czkawką Cajus Papirius Sarcasticus słucha z zazdrością.

— Chodzą słuchy, o boski, że zamierzają obrać go cesarzem. Czy słyszysz pieśni, oklaski? To zbliża się on, bohater!

— Cesarzem, ten chłystek?

Zaciskając na berle upierścienione palce, Cajus Papirius Sarcasticus spogląda chmurnie tam, gdzie patrzą wszyscy.

Oto Figulus, triumfator!

Zbliża się na wozie ćmiącym wzrok od ozdób, ciągniętym przez cztery słonie o bogatych uprzężach. Pod purpurowym płaszczem nosi zbroję ze złotych łusek. Na dumnym czole wieniec z liści dębowych. Z tyłu jakiś człowiek napomina go:

— Pamiętaj, człowiecze, żeś z prochu powstał...

Ale triumfujący wojownik nie słucha go. Z rozkoszą wdycha mistyczną woń spalonego kadzidła, którego dymy spowijają go, jakby był bóstwem. Ach, te wiwaty, Im łoskot bębnow, tętent rumaków, trąbienie słoni, ta bohaterska pieśń czterdziestu tysięcy twardych legionistów, te ryki wołów przeznaczonych na ofiarę na Kapitolu, ten skowyt... — ten skowyt!...

To pokonany wróg, Sto Tysięcy Barbarzyńców!

Oto idzie tam utykając na odłamkach szkła, wleczony przez wóz triumfatora; przerażone ślepia pobłyskują w głębi makabrycznych oczodołów czaszki bojowej. Niekiedy przystaje, aby się wysikać, lecz brutalne szarpnięcie napiętego nagle żelaznego łańcucha sprawia, że uderza pyskiem o bruk ulicy; wtedy dwa szeregi wymachujących ramionami postaci nachylają się ku niemu złowieszczo i nieszczęsny Sto Tysięcy Barbarzyńców znów znosić musi razy kijów, chłostę pękami pokrzyw i palącymi kroplami ołowiu.

Jakże cierpi!...

Wesołkowie opłaceni, aby zeń szydzić, leżą za nim na czworakach, małpują jego ruchy, skowyczą, gdy on skowyczy.

Nieruchome figury bieleją pośród wrogiej ciżby gestykulującej dziko, gdy przechodzi. Przykutych do wozu triumfalnego, chromających, krwawiących, skowyczących, starających się uchylać przed wszelkiego rodzaju pociskami, Sto Tysięcy Barbarzyńców wspomina samotną chatę, gdzie widział był im podobne... Wspomina ową białą suczkę, tak widocznie cierpiącą...

„Jest tak śliczna!... Gdyby zechciała!... Co się z nią dzieje?...”

I naraz Sto Tysięcy Barbarzyńców stawia uszy i z entuzjazmem zaczyna merdać podkulonym dotąd ogonem.

To ona!

Wszystkie niemiłe dźwięki odpływają echem gdzieś daleko, i Sto Tysięcy Barbarzyńców, ze ślepiami błyszczącymi nadzieją w głębi oczodołów czaszki wojennej, podzwania łańcuchami, pokazuje swoje rany, stara się wzruszyć ukochaną widokiem swej nędzy.

Nieszczęsny! Nie wie, że wdzięczna suczka jest równie niewrażliwa na cierpienie, co przesywający ją dzidą marmurowy Figulus...

I wszyscy, którzy podążają wzrokiem za jego spojrzeniem, wszyscy, którzy widzą, jak

szaleje z radości jego ogon i jak on sam znów podejmuje swą wędrówki z pyszczkiem przy bruku — siedemnastu kornaków, siedemdziesięciu woźniców, tysiąc dwustu jeźdźców, czterdzieści tysięcy legionistów, łucznicy z Krety, procarze z Balearów i pozostałe oddziały sprzymierzeńców, a tak że grajkowie, kapłani, nosiciele insygniów, markietanki i ładacznice, Trebazjusz i sam imperator, nawet człowieczek szepczący słowa pokory triumfującemu Figulusowi — wszyscy, cały Rzym, napełniają balsamiczne powietrze grzmiącym, wielkim śmiechem.

Męka

Od samego świtania obelgi, śmiechy i szyderstwa są jedyną odpowiedzią na rozpaczliwe szczekanie Stu Tysięcy Barbarzyńców.

Po dwu dniach i nocach spędzonych w więzieniu Mamertyńskim ukrzyżowano go na wzgórku niedaleko Rzymu. Długi ćwiek spaja ze słupem jego tylne łapy; sznury przewleczone przez łapy przednie podtrzymują go wysoko. Każda z ran i śladów po uderzeniach oblepiona jest rojem wielkich, żądłających much; inne bzykając śmigają wokół krzyża. Pylista duchota wzmagą pragnienie umęczonego — pragnienie nieznośne, które zaostrza jeszcze widok tysięcy gapiów, raczających się napojami.

Lecz niebo ciemnieje, robi się chłodno, pędzą bezładnym tabunem chmury. Powiewają na silnym wietrze tuniki i włosy, i gapie — całymi rodzinami i grupami — odchodzą ścieżką prowadzącą do Via Appia.

Zostają tylko strażnicy i kilku urwisów. Z nastaniem nocy chłopcy idą sobie, nie omieszkawszy przedtem cisnąć paroma kamieniami w stronę krzyża. Pozostają jedynie strażnicy, pokrzykujący sennie wokół ogniska.

— Łamie w kościach ten ziąb, to wino nie grzeje — mamrocze jeden.

— Wiem o miejscu, gdzie mają dobre — zapewnia drugi. — I dziewczki takie, jakie spotkać można tylko w namiocie Figulusa albo w pałacu Boskiego.

— W Rzymie można sobie popić i użyć miłości, Longinusi — przekonuje go uparcie pierwszy. — Co my tu robimy? Sądzisz, że uciekniesz?

Longinus spogląda w stronę krzyża, na którym Sto Tysięcy Barbarzyńców milczy teraz.

— Antoniuszu, podejdz no — rozkazuje. — Zobacz, może on już zmarł.

Trzeci strażnik zapala w ognisku żagiew i niezgrabnie kroczy w stronę krzyża.

— Jeszcze się rusza — informuje.

— Czy to nie wiatr?

— Nie, nie.

Wokół ogniska zapada milczenie. Inny strażnik proponuje:

— Można by przebić mu serce włóczniami...

— Nie warto — kucając przy ogniu odpowiada ten, który był sprawdzić. — On już nie będzie chrupał kości. Jakaż potęga legła w prochu! Takie jest życie... Chodźmy na wino i dziewczki, Longinusi. Co ty na to? Pozwólmy mu umrzeć w spokoju...

Strażnicy wstają, strząsają mrówki, chwytają włócznie. Oddalając się już w ślad za nosicielem pochodni, słyszą cichutkie, pełne skargi i błagania skomlenie.

— Ma pragnienie — wyjaśnia Longinus i przystaje. — Dam mu się napić. Przyświeć, Antoniuszu.

Longinus siusia do hełmu i zawraca do krzyża.

Narasta odgłos jego kroków i znów rozbrzmiewa szczekanie; jest dźwięczniejsze, niemal radosne. Ślepia Stu Tysięcy Barbarzyńców, ukryte w głębi oczodołów wojennej czaszki, z nadzieją wpatrują się w oczy strażnika.

Nosiciel pochodni potrząsa z przerażeniem głową, a Longinus podaje hełm na grocie włóczy. Tam, w dole, śmieją się strażnicy, rozkoszując się tą sceną. Widzą, jak ukrzyżowany odmawia przyjęcia płynu, widzą, jak Longinus w przystępie wściekłości wrywa mu ciosem włóczy oko. Strumień krwi obryzguje czaszkę wojenną, a także nosiciela pochodni, który cofa się, potrząsając z przerażeniem głową.

Sto Tysięcy Barbarzyńców skowycze rozpaczliwie na krzyżu nieco pochylonym, czerniejącym niewyraźnie ponad wzgórkami, na tle pędzącej masy chmur.

Cienie, prowadzone przez drżącego i potykającego się nosiciela pochodni, odchodzą. Okiem, które mu pozostało, Sto Tysięcy Barbarzyńców wpatruje się jeszcze w punkt, gdzie po raz ostatni rozbłysła czerwienią zagiew. Wydaje mu się, że wiruje w zawierusze mgieł; oddycha z trudnością, cierpi straszny ból.

„Teraz powinna mnie ujrzyć... Tak, teraz! Kto wie, może spojrzalaby na mnie z miłością? Gdyby zechciała pójść ze mną...”

I nagle zdaje mu się, że słyszy nawoływanie odległe jak echo echa:

— Sto Tysięcy Barbarzyńców... Sto Tysięcy Barbarzyńców...

To Luna!

— Zbierz, co masz, i chodź ze mną, przyjacielu — mówi Luna do Stu Tysięcy Barbarzyńców, strzelając wesoło okiem spośród obłoków. — Zaprowadzę cię na samotną górę, sterczącą ponad te oto chmury, gdzie spotkasz oczekującą cię śliczną białą suczkę. Chodź przyjacielu, chodź... Idź za mną wiernie przez świat, a poznasz miłość!

Tak mówiła Luna.

Słuchając jej, Sto Tysięcy Barbarzyńców odczuwa rozpacz z powodu swej okrutnej niemocy. Po zakrzepłej krwi cieknie krew, świeża, purpurowa, i sklejjąc sierść w lepkie kłaki, kapie kropla po kropli jak woda ze stalaktytów.

Ani Luna nie spuszcza oka ze Stu Tysięcy Barbarzyńców, ani Sto Tysięcy Barbarzyńców nie spuszcza oka z Luny. Nietoperz szybuje ku owej śmiejącej się białej twarzy. Sto Tysięcy Barbarzyńców widzi, jak rozjaśnia się ona, potem chmurzy i znów się rozjaśnia na popielatym niebie, a chyża chmurka, którą oświecła, zda się być białą suczką w niecierpliwiej, wyczekującej pozie.

Wykrwawionemu Sto Tysięcy Barbarzyńców głowa zwisa bezsilnie. Już ptak ogromny waży się nad krzyżem, już on, umęczony, szczeka groźnie, aby pokazać owemu upierzonemu i wyposażonemu w dziób grabarzowi, że jeszcze żyje, gdy rozbłyska płomień pochodni i pojawia się jakiś kaszlący starzec, z długą brodą — nie kto inny, tylko sam Artysta! Syn jego Sporus wlecze za sobą nosze. Obaj zatrzymują się przed krzyżem, obaj długim spojrzeniem badają intruzów, Sto Tysięcy Barbarzyńców gotuje się na większe jeszcze cierpienia. Gdyby chociaż Luna to widziała... Ale ukryła się pośród chmur, może nie starczyło jej odwagi, aby się przypatrywać.

Na znak Artysty jego syn Sporus zaczyna ryć ziemię wokoło krzyża. Z każdym uderzeniem łopaty grudy lecą w stronę brody Artysty, który przyświeca. Wreszcie Sporus wrywa krzyż z jamy i z wysiłkiem kładzie go łagodnie na ziemi.

— Gotowe ojczy. Daj, poświęcę.

Teraz kolej na Artystę. Pochyliwszy się nad Stu Tysięcami Barbarzyńców, zdejmuje go z krzyża i od razu, na miejscu, smaruje mu maścią rany, ślady uderzeń, krwawiący oczodół.

— Poświęć jak należy, chłopczy! — mruczy pokastując.

Sto Tysięcy Barbarzyńców wyje z bólu. Twarda dłoń przyciska mu głowę do ziemi, dwie inne torturują go. Jak okrutne są te istoty! Ach, gdyby mógł odzyskać swoje kości, swoje złudzenia, swoje pchły i czmychnąć z Imperium Rzymskiego!... Gdyby mógł tu, na ziemi, iść pokornie za swą niebieską opiekunką, która znów rozbłyskuje wśród obłoków!...

— Idź za mną wiernie poprzez świat, a poznasz miłość! — powtarza tam, wysoko, Luna.

W męczarniach, które mu zadają, następuje przerwa. A gdyby tak spróbować?

Sto Tysięcy Barbarzyńców zrywa się, łypie jednym okiem na swoich oprawców, robi parę chwiejnych kroków, może...

— Zapomnieliśmy zdjąć mu czaszkę, ojcze! — krzyczy Sporus. — Pies ma ją na głowie!

Kaszlący Artysta, ze łzą spływającą mu po twarzy, mówi:

— Pozwól mu odejść, chłopcze; niech sobie idzie biedne zwierzę. To pamiątka, którą unosi z tego szalonego świata, idź, biedny zwierzaku, idź...

A Luna wysoko w górze:

— Chodź, przyjacielu, chodź...

Sto Tysięcy Barbarzyńców kuśtyka szybciej, oddala się. Jest zdumiony: nikt go nie ściga, żaden pocisk, strzała ani kamień nie świszczy mu koło ucha! Przed nim biegnie Luna, przebłyskując uśmiechniętą twarzą pomiędzy ciemnymi gałęziami eukaliptusów:

— ...a poznasz miłość!

CZEŚĆ DRUGA

Wędrowiec

I Sto Tysięcy Barbarzyńców idzie za Luną, która obiecała mu miłość; idzie ze zwieszonym łbem, kuśtykając, z podwiniętym ogonem: są to szczegóły właściwe jedynie psom absolutnie nieszczęśliwym. Zostawia krwawe ślady. W głębi czaszki wojennej błyszczy nadzieją źrenica jak lampa w czeluści grobowca.

Dnie i noce płyną falami samotności przy brzęczeniu owadów, cykaniu świerszczy, rzadkich popiskiwaniami, rechocie żab, chłodnym szemraniu strumyków, szumie wiatru w rozkołysanych gałęziach drzew. Muchy, szarańcza, niekiedy leśne myszy, a także pchły, które chwyta we własnej sierści, są jego pożywieniem.

Zanim jeszcze wszędzie Luna, Sto Tysięcy Barbarzyńców bada horyzont. Gdy ukazują się upragniony świetlisty łuk, pies zaczyna jak szalony machać ogonem, ujadając z radością.

— Chodźmy, przyjaciółko! Zaprowadź mnie do mego kochania! Nie ma czasu do stracenia!

A co się dzieje, gdy uśmiechnięta Luna kryje się z wolna pośród obłoków? Gdy zdarza się coś takiego, zaniepokojony Sto Tysięcy Barbarzyńców przystaje z mordką uniesioną w ich stronę.

— No więc, co dalej?

Szczególnie dręczą go długie okresy nieobecności. Do tego stopnia nie może obejść się bez Luny, że pozbawiony jej przewodnictwa nie czuje się na siłach zaryzykować świadomie nawet jednego kroku. Uruchamia łapy tylko po to, by napić się z kałuży lub strugi albo znaleźć coś do jedzenia. Nieobecność Luny przyprawia go o melancholię, którą wyraża wyciem. Oprócz melancholii ogarnia go także niepokój, który wzmagają ciemności. Czuje się bezbronny, każda gwiazda jest bezlitosną, szpiegującą go źrenicą; trwożnie nastawia uszy na każde tchnienie wietrzyka niosącego zawodzące głosy, dzikie zapachy, przedśmiertne wrzaski, trzeszczenie gruchotanych kości. I z sierścią zjezoną na grzbiecie Sto Tysięcy Barbarzyńców wygląda Luny uparcie wpatrując się w widnokrąg i chmury. Nauczył się wykonywać to zajęcie z cierpliwością tak wielką, że można by ją porównać do cierpliwości stworzeń, które Natura wdrożyła do utrzymywania się przy życiu ze śmierci innych stworzeń.

Ludzi niemal już zapomniał. Rzeczywiście, wiele czasu upłynie, nim pojawi się znów ta złowieszcza groźba w postaci usmolonego, brodatego osobnika z wędką na ramieniu — Primitivo Sancheza.

— Niech cię Bóg zachowa, święty pustelniku! — pozdrawia go Primitivo Sanchez, przyjacielsko przesuwając mu dłońią po żebrach i wymacując jedno po drugim. — Skończyłeś właśnie czterdziestodniowy post na pustyni? Chodź, dam ci coś do zjedzenia. Skądeś, u diabła, wytrzasnął ten kapelusz? Może twój pan jest grabarzem ?

Primitivo Sanchez śmieje się serdecznie i daje Stu Tysięcom Barbarzyńców jeść, ale nie zatrzymuje go na długo w swym domu nad rzeką. Pokazuje go Magnusowi Dingh, cieśli, i Magnus Dingh, uśmiewszy się serdecznie, idzie do trapezisty Donalda. „Pomówić z Sierresko?” pyta Donald, uśmiewszy się serdecznie. Można to załatwić.

I załatwiono. Następuje głośna rozmowa, toast dla przybicia interesu, cztery tygodnie bicza i Sto Tysięcy Barbarzyńców pojawia się na afiszach ubożuchnego cyrku jako największa atrakcja trupy. Na próbach Sierresko nie żałuje mu bata, jeśli numer nie wychodzi jak

należy; na arenie, wobec klaszczącej publiczności, kłania się na prawo i lewo i pieści Artystę. Sto Tysięcy Barbarzyńców ma powody, aby nienawidzić takiego człowieka, ale w sercu jego jest miejsce tylko na miłość. Miłość!... Luna mrugająca doń spośród obłoków!...

Sto Tysięcy Barbarzyńców gorąco pragnie uciec i wędrować za nią w bladej poświacie nocy pełnej drzew wymachujących ramionami, w samotności pełnej brzęczenia owadów, cykania świerszczy, rzadkich popiskiwań, rechotu żab, chłodnego szemrania strumyków...

Może nigdy nie zdołałby uciec z cyrku, gdyby nie błazen Mustafa, chłopiec wąty i smutny, pasierb Siereska.

Mustafa wielokrotnie przyłapywał Sto Tysięcy Barbarzyńców na wyciu do Luny. Zwykł wówczas cichutko podchodzić, głaskać psa i dawać mu migdały, które Sto Tysięcy Barbarzyńców zjadał z wdzięcznością i pokorą.

Pewnego wieczoru po przedstawieniu Mustafa, jeszcze w swym błyszczącym fezie na głowie, rzekł stanowczo do ojczyma:

— Daj mi tego psa z czaszką, abym mógł puścić go wolno; inaczej obleję się benzyną i podpalę, aż zostanie ze mnie węgiel.

Sieresko bardzo kocha błazna Mustafę. Pochyla się, kładzie swe łapska na jego wątych barkach, proponuje:

— A może chcesz psa *chihuahua*? Są tak maleńkie, że mógłbyś nosić go w kieszeni. Dam ci takiego *chihuahua*. Ale musisz uważać, bo inaczej pożrą ci go koty.

Mustafa kręci głową:

— Daj mi psa z czaszką.

— Poczekaj, porozmawiajmy jak mężczyzna z mężczyzną...

— Chcesz, żebym oblał się benzyną i spłonął na węgiel?

Błazen Mustafa nigdy nie kłamie. Sieresko wie o tym i z ciężkim sercem ustępuje.

Mustafa uśmiecha się do Stu Tysięcy Barbarzyńców:

— Możesz iść, gdzie chcesz.

Na poły uśmiechnięty, na poły smutny, błazen Mustafa stoi i patrzy, jak Sto Tysięcy Barbarzyńców oddala się, zrazu nieufnie, by potem z radosnym szczekaniem puścić się biegiem za przezierającą spoza chmur Luną.

Tak oto w ciągu tej uciążliwej wędrówki w poszukiwaniu miłości Sto Tysięcy Barbarzyńców wzbogaca swoją dość już rozległą wiedzę o ludziach. Jednym z wielu, którzy pozostawili mu jak najgorsze wspomnienie, był Calvey, nieokrzesany nocny stróż pewnej garbarni. Gorszy od niego był może tylko „Wściekły” Gunch. Ale to nie wszystko. Wagon Weed, strażnik terenów sędziego Plummera, posłał mu nawet kulę tylko dlatego, że jego żona zemdląła z przerażenia ujrawszy nocą za oknem ludzką czaszkę, w której lśniło psie oko. Są też bandy łobuzów, połyskliwe automobile grzmiące po ulicach, nie mające końca pociągi z rykiem przelatujące przez tunele, i inne wrogie moce, za których sprawą spadają nań wszelakie nieszczęścia. Lecz nowe cierpienia rychło przyćmiewają stare i oto Sto Tysięcy Barbarzyńców kuśtykając idzie za Luną, która obiecała mu miłość. Dopóki nie pojawi się pewna biała suczka, która pozwoli mu polizać się w karczek (o, szczęście najwyższe!), tu, na Ziemi, będzie zawsze wiernym towarzyszem Luny.

— Chodź, przyjacielu, chodź... — mówi ona tam, na niebie.

I Sto Tysięcy Barbarzyńców idzie. Posuwa się brzegami rzek i jezior, wspina się na góry, a na każdym szczycie z niepokojem przewraca swym jednym ślepiem w głębi makabrycznego oczodołu swej wojennej czaszki. Potem wyje: „to jeszcze nie miejsce, gdzie ona na mnie czeka”, spuszcza łeb i podąża dalej, utykając i nie tracąc nadziei.

Przemyka się przez hałaśliwe miasta, bagna oszałamiające światłami i niebezpieczeństwami. Spostrzega istotne różnice. Wielką nowością jest woń benzyny — jest to nowość prawie równie niemiła, jak okropny smak wody, którą pije. Co się stało ze smaczną i chłodną wodą z dawnych czasów? Co zaś się tyczy jedzenia, korzysta z puszek leżących na śmietni-

kach i z wysypisk; mało wymagający pies znajdzie tam niejedno dla zaspokojenia głodu. A gdy mija go jakaś suczka?... Gdy zdarza się taki cud, Sto Tysięcy Barbarzyńców wpada w ekstazę. Widział ich wiele, tysiące; za niektórymi z nich nawet idzie, zwłaszcza za białymi, lecz one gaszą jego pożądlive spojrzenie ogromem szyderczej wzgardy; natomiast ludzie natrzęsają się z jego chudości, skudłonej, brudnej sierści, a nade wszystko z wojennej czaszki, której łaciński napis wywołuje uśmiech na twarzach ludzi wykształconych, szczególnie zaś księży.

Niektóre spośród psów-śmieciarzy, żyjących na przedmieściach, też biorą go za cel swych prześmiejów:

— Patrzcie no, męczennik!

— Co ty masz na łbie?

— Zjeżdżaj stąd, parszywcze!

— Nie zasługujesz nawet na szacunek kotów!

Taka wrogość deprymuje Sto Tysięcy Barbarzyńców.

A jednak, nawet gdyby go zapraszano, odmówiłby udziału w sprośnych grupowych obrzędach fallicznych, na które natyka się co krok. Białej suczce, przyobiecanej przez Lunę, pragnie ofiarować niewinność bez skazy, jest to bowiem jedyne bogactwo, jakie zachował pośród rozlicznych nędz: obawiając się jej splamienia, stara się unikać kontaktów, które mogłyby ją narazić na szwank.

Siedmioniuch

Tak więc uczucia w rodzaju przyjaźni uważałyby za obce sobie, gdyby ona sama — przyjaźń — nie pozdrowiła go jowialnie:

— Nazywam się Siedmioniuch. A ty?

Sto Tysięcy Barbarzyńców, wyglądający schowanej w chmurach Luny, umyka podwijając ogon jeszcze bardziej.

Siedmioniuch postępuje w ślad za nim.

— A ty? — powtarza. Jest to pies o sierści niewiarygodnie puszystej, zadbany, o nader bystrych oczach i beztroskim wyglądzie; z tych, co to wołą szczebrać, niż wyć.

Sto Tysięcy Barbarzyńców uznaje wreszcie za stosowne zaryzykować odpowiedź na pytanie Siedmioniucha. Ten wydaje się psem przyzwoitym, nawet dystygowanym: rasowiec. Pośród nedorzecznej grzywy z jego bystrych ślepi przebija lojalność.

— Jestem Sto Tysięcy Barbarzyńców — odpowiada i dodaje hardo: — Idę z daleka za przyjaciółką Luną, prowadzącą mnie na samotną górę, ponad chmury, gdzie czeka na mnie pewna biała suczka. Obiecała mi ją Luna.

Siedmioniuch jest zdumiony:

— Niech skocieję, jeśli kiedykolwiek słyszał coś podobnego! Mówisz serio? Luna ci to obiecała? .

— Obiecała.

— Powiedziała, że zaprowadzi cię tam?

— Powiedziała.

— Na górę?

— Tak.

— Samotną?

— Tak.

— Ponad chmury?

- Tak.
- Niech skocieję! I ty w to wierzysz?
- Wierzę.
- I wszędzie za nią idziesz?
- Idę.
- Z tym na głowie?
- Tak.
- W nocy?
- Nieraz też w dzień.
- Sam?
- Z Luną.
- A co robisz, jak nie ma Luny?
- Marzę.
- Marzysz?
- Marzę.
- Niech skocieję! O czym?
- O niej.
- O Lunie?
- Nie, o suczce.

Siedmioniuch zmienia temat:

- Co ci zrobili w oko?
- Wyłupili mi.
- Miałeś drakę z kotami?
- Nie.
- Albo z kimś z naszych?
- Nie.
- To nie był jakiś gnojek z naszych?
- Nie.

— Przynajmniej dobrze, że to nikt z naszych. Musimy być solidarni, bo tylko w ten sposób zbudujemy harmonijny świat. Więc kto był tym łobuzem?

— Człowiek.

— Mówią, że oni są gorsi od kotów. Co do mnie, nie mogę narzekać. Zachowują się jak wierne, oddane zwierzęta. Wstrętny jest tylko ich sentymentalizm. Ale są żwawi, uczynni, nadają się dobrze na posyłki.

Sto Tysięcy Barbarzyńców wzdycha:

— Ty jesteś facet z klasą.

Siedmioniuch, potrząsając wyniośle grzywą:

— Co to, to prawda.

Kroczą pośród nocy, bark w bark. Sto Tysięcy Barbarzyńców czuje się dziwnie spokojny. Ciekawość Siedmioniucha jest niewyczerpana:

- Naprawdę wszędzie idziesz za Luną?
- Wszędzie.
- I ufasz jej?
- Ufam.
- Absolutnie?
- Tak.

— I wierzysz, że Luna da ci samicę?

— Wierzę. Białą suczkę.

— Bravo! — chwali go Siedmioniuch, potrząsając absurdalną grzywą. — Tyle podróżywałeś, że musiałeś kochać niejedną, to jasne...

— Nie. A ty?

Siedmioniuch przystaje.

— Jak sądzisz, ile? Dwie?... Dwieście?...

Sto Tysięcy Barbarzyńców także przystaje:

— W jaki sposób osiągasz takie wyniki?

Siedmioniuch, podejmując marsz, mówi:

— Całkiem po prostu: wystarczy, że się pojawię, zjawiam się i basta. Nigdy nie miałem problemów. Sądzę, że ułatwia mi życie fakt, iż jestem psem medalistą. Byłeś kiedyś medalistą?

— Nie.

Tak kroczą obok siebie rozmawiając, w bladym świetle latarni ulicznych.

— Pewnego dnia — opowiada Siedmioniuch — zakochałem się jak wariat w jednej samicy, medalistce jak ja. Zdarzyło się to w czasie konkursu. Był tam cały tłum samic (mój drogi, gdybyś je tylko widział!), ale ta naprawdę mnie zainteresowała, niech skocieję! Gdy skończył się cały jubel, widzę, jak pakują facetkę do samolotu, który znika w chmurach. Jak sądzisz, co zrobiłem?... Może zacząłem się skarżyć?... Gdzie tam! Wyruszyłem w drogę. W rok później kochałem się z nią. Nie wierzysz?

— Wierzę — odpowiada szczerze Sto Tysięcy Barbarzyńców.

— Taki już jestem, mój drogi: gdy poweźmę do kogoś uczucie, jestem taki. Moja miłość i przyjaźń są solidne.

Idą: utykający Sto Tysięcy Barbarzyńców ze zwieszonym łbem i podkulonym ogonem, Siedmioniuch beztrąsko, z łbem uniesionym wysoko, strząsając z wiernych oczu ową absurdalną grzywę.

— Obsikajmy ten słup, mój drogi, aby przypieczętować naszą przyjaźń — proponuje Siedmioniuch.

Sikają.

Potem Siedmioniuch podejmuje wątek swych pytań, a Sto Tysięcy Barbarzyńców — odpowiedzi.

Aż docierają do pięknej, położonej w ogrodzie siedziby z oświetlonymi oknami. Siedmioniuch mówi, że mieszka tu razem ze starym człowiekiem płci żeńskiej o przymilnej mowie.

— Wierne zwierzę — dodaje. — Zawsze jest chora, gdy postanawiam wypuścić się w jakąś dłuższą rundę. W czasie tego mojego flirtu z samicą z konkursu...

Ale Sto Tysięcy Barbarzyńców nie słucha go. Unosi czaszkę wojenną i macha ogonem.

— O, idzie!

— Kto?

— Przyjaciółka Luna.

A Siedmioniuch zaraz:

— Uspokój się. Co powiesz na kielbasę?

Sto Tysięcy Barbarzyńców nie mówi nic. Machając ogonem, jednym okiem obserwuje białą Lunę, która triumfalnie wychynęła spośród ciemnych obłoków.

— Postój tu kilka chwil, mój drogi — mówi żądny czynu Siedmioniuch. — Nie martw się, Luna poczeka, niech skocieję! Skoczę do spiżarni i zaraz wracam z kielbasą. Może nigdy nie jadłeś?...

Siedmioniuch, aby zwędzić kielbasę z oświetlonego domu, potrzebował nie kilku chwil, lecz godziny. Gdy wyszedł, niosąc ją w zębach, Sto Tysięcy Barbarzyńców był już daleko.

Zerwanie

I wysrebrzona księżycem noc pełna jest brzęczenia owadów, cykania świerszczy, rzadkich popiskiwań, rechotania żab, chłodnego szemrania strumyków, szumu drzew wymachujących ramionami.

Mile uciekają w tył pod niezmordowanymi łapami Stu Tysięcy Barbarzyńców i nie zdarza się nic specjalnego, co mogłoby wprawić jego ogon, niemal bez przerwy podkulony, w radosne merdanie. Zostawia ślady na górskim śniegu i na gorącym pyle pustyni; zostawia kępki sierści i ślady kiwi w gąszczu kolczastych kaktusów; cudem unika szarży bizona na prerii, a tak jest wychudzony, że w środku zimy podróżuje bezkarnie po rezerwacie Indian Pożeraczy Psów.

Niekiedy Luna skrywa pośród mrocznych chmur swą świetlistą twarz: wówczas spadają ciężkie krople, lśniący zygzak rozcina mrok, zaraz rozpętuje się ulewa, dolinami toczy się potężny grzmot i Sto Tysięcy Barbarzyńców biegnie strząsnąć z siebie wodę do jakiejś opatrnościowej jaskini lub wykrotu pod starym drzewem o napowietrznych korzeniach.

— Chodź, przyjacielu, chodź... — mówi tam wysoko Luna.

Pewnej nocy Sto Tysięcy Barbarzyńców spostrzega dziki szczyt, odcinający się czernią na granatowym tle nieba. Luna, srebrząca płocze chmurki, biegnie radośnie w jego stronę.

„Na tej samotnej górze — myśli z zachwytem Sto Tysięcy Barbarzyńców — oczekuje mnie, pożerany niecierpliwością, blask mego życia, na które szczęście świeciło tak skapo”.

Machając ogonem, dociera tam o świcie. Ale przeżywa bolesny zawód: nie czeka tam na niego żadna biała suczka.

Cios ten przyprawia go o rozdrażnienie.

— Jestem ciągle taki nieszczęśliwy! — wyje. — Najpierw urodziłem się, choć nikt przedtem nie pytał mnie o zdanie w kwestii tak ogromnego nieszczęścia; potem zwiedziony kłamliwymi obietnicami szedłem za Luną; prowadzi mnie ona przez miejsca tak niebezpieczne, że nie rozumiem, jak to się dzieje, że jeszcze żyję. Starzeję się w tej wędrówce!... Nawet nie ma kogo polizać!...

W takich to i innych pełnych goryczy słowach skarży się Sto Tysięcy Barbarzyńców. Gdy zaś Luna znowu pojawia się na nieboskłonie, wyszczekuje do niej te zdania:

— Koniec z naszą przyjaźnią! Proszę cię, zajmij się swoimi sprawami! Naprawdę nie wiem, jak moglibyśmy dłużej być razem! Oszukałaś mnie! Mam dość, znajdź sobie inną ofiarę! Żegnaj!

Po zerwaniu stosunków dokonuje się w Stu Tysiącach Barbarzyńców zadziwiająca przemiana. Nikt nie zamieszkuje tego dzikiego pustkowia, choć biegnie przez nie droga z niewyraźnymi śladami opon; dlatego też Sto Tysięcy Barbarzyńców wałęsa się tam bez żadnej obawy — co więcej, z zaskakującą beztroską. Spostrzega nawet, że nie podkula już ogona na odgłos spadającej szyszki, co napawa go wielkim optymizmem. Uważa się za zupełnie wyzwolonego, gdy uświadamia sobie, że warknął na ślimaka. Obie zbrodnie — wobec szyszki i ślimaka — popełnił z poczuciem bezkarności, które przyprawia go o oszołomienie.

Nieraz, gdy słońce pali ziemię, przysiada prawie, aby wycisnąć z siebie łajno pełne robactwa; innym rasem przystaje, aby podrapać się w szyję i uszy: kiedy indziej znowu wpatruje się uważnie w płomienście rozedrgane powietrze, i nagle — pac! — chwytą muchę kłapięciem szczęk. Tymczasem poszerza swoją wiedzę. Ptasek z korzonkiem w dziobku, zwawo kręcący główką, który zrywa się do lotu z rozkołysanego kwiatu, dwa motyle, zataczające kręgi w płochym locie, karawany mrówek, niezmordowanie dostarczające coś do tajemnych otworków, rogaty i agresywny górski cap, gaszący pragnienie w marszczącej się kałuży — te i inne sceny Sto Tysięcy Barbarzyńców obserwuje z dużym zainteresowaniem.

Pośród niespodzianek przyjemnych często trafiają się niemiłe, zmieniające w mękę eksplorację przedsiębraną przez tego anachoretę, co usunął się ze świata ludzi i psów. Teraz właśnie, zaglądając z ciekawością do skalnej szczeliny, cofa się ze zjeżoną sierścią, dotknawszy niemal pyskiem zwiniętego w chłodną i szorstką spiralę odpoczywającego grzechotnika.

Badania swoje przerywa tylko na czas snu; w śnie, użyźnionym miłosnymi myślami, sylweta samotnego szczytu unoszącego się ponad chmury, na którym on, Sto Tysięcy Barbarzyńców, liże najbielszą z suczek — odcina się wyraźnie na tle pozostałych urojeń, dla których srogą karą jest chwila przebudzenia.

W owych snach — tylko w snach — zawsze pojawia się Luna. Rzeczywistą nieobecność swej dawnej towarzyszki wędrowki Sto Tysięcy Barbarzyńców przypisuje zerwaniu. Zaczyna odczuwać wyrzuty sumienia z powodu tego, że potraktował ją tak surowo.

„Moje słowa zadały jej wielki ból. Biedna Luna! Już nigdy nie rozbłyśnie bielą wśród nocy. Ma swoje powody... Przystając ciągle ze mną, tylko ze mną, w końcu zapłonęła do mnie uczuciem. Ponieważ ja byłem tu, na ziemi, jej towarzyszem, a ona tam, w górze, moją towarzyszką — jest zrozumiałe, że chciała odsunąć mnie od rywalek. Po prostu z zazdrości. Pragnęła mnie mieć wyłącznie dla siebie. Czyż nie żyje w wielkiej, czarnej samotności? Moje spotkanie z zakochaną suczką zabiłoby ją, zabiłoby ją z całą pewnością. Jakże by mogła, biedaczka, przyświecać obojętnie naszemu szczęściu? Nie musiała tylko przyrzekać tego, co przyrzekła. Ale i tak byłem zbyt ostry, może nawet niesprawiedliwy. A gdybym przebaczył Lunie?... Tak, gdybym jej przebaczył?... Ach, otóż i ona!”

Rzeczywiście, wobec perspektywy przebaczenia Luna nieśmiało wciska się na czysty błękit porannego nieba; jest cieniutkim, prawie niewidocznym sierpem.

Sto Tysięcy Barbarzyńców macha ogonem. Nawet nie słyszy narastającego szumu silnika, dobiegającego z przyćmionej, mglistej dali; upływa parę sekund nim spostrzeża jeepa toczonego się w podskokach po zakurzonym gościńcu.

Borg Helps zwalnia bieg pojazdu, kładzie swobodną rękę na ramieniu Jonathana Stephena Miligne, wskazuje na szczyt góry:

— Niech pan spojrzy, kolego...

Jonathan Stephen Miligne, zatopiony we własnych myślach, patrzy ze znużeniem.

— Zdaje się, że to pies.

Borg Helps jeszcze bardziej zwalnia bieg samochodu; jedną rękę trzyma na kierownicy, drugą na ramieniu Jonathana Stephena Miligne i nie spuszcza wzroku z wyniosłości.

— Proszę spojrzeć, kolego... Czyż to, co zwierzę ma na łbie, nie jest ludzką czaszką?

Jonathan Stephen Miligne, który znów zagłębił się w siebie, uśmiecha się, znowu spogląda ze znużeniem.

— Rzeczywiście... I wydaje się bardzo zadowolone z tego, że nas widzi.

— Że nas widzi?

— Tak, kolego. Niech pan spojrzy, jak wymachuje ogonem, niech pan posłucha, jak szczeka.

Borg Helps zatrzymuje jeepa, zaciąga hamulec, znów kładzie dłoń na ramieniu Jonathana Stephena Miligne, jeszcze raz wskazuje na szczyt:

— Nie, to nie na naszą cześć. Niech pan popatrz uważniej, kolego...

Jonathan Stephen Miligne uśmiecha się, patrzy uważniej, pełen pobłażania.

— Rzeczywiście... Jak on macha tym ogonem! jak szczeka! Jakby widział psy w przestworzach.

Na to Borg Helps nachyla się do ucha współtowarzysza z chytrym uśmieszkiem:

— W przestworzach? Niech pan patrzy uważnie, kolego, bardzo uważnie...

Jonathan Stephen Miligne uśmiecha się, wzdycha, spogląda z uwagą, z wielką uwagą.

I obu starszkom wrywa się z piersi pełen zrozumienia śmiech, podczas gdy jeep podskakując znika za zakrętem.

Odwiedziny

I Sto Tysięcy Barbarzyńców. smutny, błądzi ze zwieszonym łbem po smutnej górze, gdzie wieje czyste powietrze, a królem jest rogaty cap.

Pewnego popołudnia, słonecznego i wypełnionego bzykaniem owadów, zdarza się coś niezapomnianego: Sto Tysięcy Barbarzyńców widzi, jak mozolnie, pnąc się po stoku, ktoś zbliża się do niego. Kto to?!

— Cześć, kochany! Niech skocieję, jeśli odnalezienie ciebie kosztowało mnie choć trochę trudu! Było to nieznośnie wprost łatwe! Nie wylałem nawet kropli potu!

W swym osłupieniu Sto Tysięcy Barbarzyńców nawet nie potrafi szczekać; z karygodnym opóźnieniem wprawia w ruch ogon.

— Siedmioniuch!

— Najsolidniejszy z twoich przyjaciół, kochany! — mówi wypuszczając z zębów to, co pozostało z kiełbasy.

Na to Sto Tysięcy Barbarzyńców, zbiegając radośnie na jego spotkanie:

— Jedyne, Siedmioniuchu! Jedyne!

Siedmioniuch, potrząsając swą absurdalną grzywą, odparowuje:

— Taki już jestem. Taki jestem, jak się do kogoś przywiążę. Moja przyjaźń jest solidna.

Sto Tysięcy Barbarzyńców trwa w bezbrzeżnym zdumieniu.

— Siedmioniuch... Mój przyjaciel Siedmioniuch!...

Obwąchuje go. Nie ma wątpliwości: to Siedmioniuch, pies-przyjaciel, pies dystygowany, pies rasowy.

„Przybył w odwiedziny do mnie, na tę samotną górę, dokąd zagnała mnie miłość...” myśli Sto Tysięcy Barbarzyńców. Prawdziwy przyjaciel! W zębach przyniósł świadectwo swej przyjaźni — kiełbasę, ukradzioną rzeczonyj starej kobiecie o przymilnej mowie...”

— Jedz! — zachęca go Siedmioniuch. — Niech skocieję, jeśli kiedykolwiek próbowałeś czegoś takiego!

— Nie mogę.

— Głupi jesteś. No, zjedźże to!

I Sto Tysięcy Barbarzyńców je. Jedząc wyobraża sobie biednego Siedmioniucha — psa medalistę — jak przemierza świat w spiekocie, w chłodzie, w deszczu, z tym zwisającym mu z pyska rozkosznym prezentem; wyobraża sobie, ile pokus pożarcia go musiał przezwyciężyć w godzinach doskwierającego głodu; walki i gonitwy, aby ustrzec go przed cudzą zachłannością. Owa niezrównana kiełbasa nosi ślady zębów, i nie są to ślady zębów przyjaciela.

— Dobry klimat! — szczeka Siedmioniuch oglądając krajobraz i udając, że kiełbasa nic go nie obchodzi. — To nawet korzystne dla zdrowia, niech skocieję!

„Jakie poświęcenie...” — myśli Sto Tysięcy Barbarzyńców, oblizując sobie pysk. „Ile trudów!... Szukał mnie dzień i noc, uparcie, niezmordowanie!... Miesiące wędrówki!...”

I oto bark w bark włączają się po górach, rozmawiając, wymieniając nowiny, wspominając co smakowitsze epizody. Siedmioniuch zatrzymuje się koło drzewa:

— Pamiętasz, kochany? — pyta chytrze.

Sikają, bezgranicznie szczęśliwi. Potem zagłębiają się w subtelne rozważania na temat Nad-psa, możliwości posiadania duszy przez koty i innych zagadnień transcendentnych. Po wyczerpaniu całej tej problematyki rozmawiają o muchach i ludziach.

— Moim zdaniem, człowiek jest tak samo pożyteczny jak słup albo drzewo — twierdzi Siedmioniuch. — Rozważ sam, mój drogi; w czasie mej podróży do ciebie otwierały się przede mną wszystkie drzwi. Gdy tam, po drodze, przejeżdżał jakiś piękny samochód, zatrzymałem się, aby mnie podwieźć. Niech skocieję, wygodnie mi się podróżowało! Ludzie spoglądali

na mnie z zainteresowaniem, ich młode skakały z uciechy, a samice obsypywały mnie pieszczotami. Otaczano mnie szacunkiem. Jak sądzisz, ile czasu zużyłbym na dotarcie tutaj, gdyby nie zapraszano mnie tu i tam, gdyby nie uczyły i orgie? Rok?... Dwa dni?... Pewnego razu schwytali mnie i zawieźli do azylu — a ja słówka nie pisałem, niech skocieję! Widzisz, na własne oczy chciałem zobaczyć to, o czym wśród naszych mówi się z przerażeniem. Ale, wierz mi, zaraz mnie wykupili, nic nie zdążyłem zobaczyć ani przeżyć żadnej emocji! Łatwe życie... fotele... kości pełne mięsa... Nigdy nie miałem ochoty na twoją kiełbasę, niech skocieję! No i samice. One były głównym powodem mego opóźnienia. Gdziekolwiek poprowadził mnie twój jedyny w swoim rodzaju ślad, były ich całe tłumy i, chociaż pośpiesznie, zdążyłem się nieźle zabawić z paroma.

— Lizałeś je? — pyta z ciekawością Sto Tysięcy Barbarzyńców.

Siedmioniuch pogardliwie:

— Miałbym tylko lizać?

— Kochałeś je, prawda? — pyta znów Sto Tysięcy Barbarzyńców z wielką ciekawością.

— Jasne, niech skocieję!

Bark w bark, bardzo zaprzyjaźnieni, obserwują bieganinę mrówek, patrzą, jak rogaty cap gasi pragnienie w kałuży, zwiedzają piękne zakątki góry; Sto Tysięcy Barbarzyńców jest przewodnikiem.

— A więc zerwałeś stosunki z Luną?

— Zerwałem.

(Stosunki między Stu Tysiącami Barbarzyńców a Luną były jeszcze nader chłodne.)

— Idąc za nią wszędzie?

— Tak.

— Z tym na głowie?

— Tak.

— Przez góry i równiny?

— Tak.

— Przez miasta i osiedla?

— Tak.

— Dzień i noc?

— Tak.

— W wietrze i deszczu?

— Tak.

— Wiernie?

— Tak.

— Niech skocieję! Dlaczego?

— Co mówisz?

— Dlaczego zerwałeś stosunki z Luną?

— Już ci to wyjaśniłem. Bo okłamała mnie. Wtrąciła mnie w kłopoty, ale nie dostałem w nagrodę suczki, jak obiecała.

— Tej...

— Tak.

— Białej...

— Tak.

— Która miała cię oczekiwać na górze samotnej jak ta...

— Tak.

— Ponad chmurami...

— Tak. Luna obiecała mi to wszystko.

— Niech skocieję! Co teraz myślisz zrobić?

- Czekać na nią.
- Na Lunę?
- Na suczkę.
- Tutaj?
- Tutaj.

Drzewa odcinają się czarno na tle czerwieniejącego zachodu.

— Uważam, że powinieneś pogodzić się z Luną, mój drogi — wyrokuje Siedmioniuch potrząsając swą absurdalną grzywą. — Zastanów się nad tym: musisz pogodzić się z Luną. Zapomnij o kłopotach. Podążaj wiernie za Luną, a dostaniesz samicę, niech skocieję! A teraz, wybacz, muszę iść. Przyjaciel nie może zatrzymywać przyjaciela. Stara kobieta o przymilnej mowie (jaka z niej pożyteczna służąca!) na pewno martwi się moją nową nieobecnością. Przyzwyczała się, biedaczka... Ale to nie wszystko... Mam zobowiązania sercowe, pojmujesz?

I Siedmioniuch, wymachując ogonem i często odwracając głowę, zbiega ze zbocza.

— Do zobaczenia, kochany! — szczeka jeszcze.

Sto Tysięcy Barbarzyńców, znieruchomiały, na skale:

— Zobaczmy się jeszcze?

Na to Siedmioniuch, znikający w oddali:

— Oczywiście że tak, niech skocieję! Gdziekolwiek się znajdziesz! Tu, czy gdzie indziej! Twój ślad jest jedyny w swoim rodzaju: odnajduję go z największą łatwością. Przyrzekam znów cię odwiedzić, gdziekolwiek będziesz! I znowu przyniosę ci kiełbasę! Taki już jestem, gdy przywiążę się do kogoś! Moja przyjaźń jest solidna!

Uwięzienie

Przez pewien czas Sto Tysięcy Barbarzyńców zachłannie wspomina odwiedziny dostojnego przyjaciela. Być odwiedzionym tu, na tej pustej i niegościnniej górze przez Siedmioniucha — psa rasowego — i to nie we śnie!... Z jakąż dystynkcją wyrzucał w bok łapę: i ten jowialny pysk celujący w obłoki w trakcie sikania. Żaden pies nie sikał tak wytwornie — nawet te pokojowe pieski, które Sto Tysięcy Barbarzyńców widywał w piekielnym wirze miast, wtulone w ramiona samic człowieka, złorzeczące mu ze szczerzeniem zębów: nawet owe cacusie nie sikały tak wytwornie jak Siedmioniuch, nawet one! Usiłował już naśladować jego sposób sikania, ale próby te nie wypadały zachęcająco. I Sto Tysięcy Barbarzyńców doszedł do wniosku, że sikanie według wszelkich prawideł jest cechą wrodzoną niektórych psów; nie można się tego nauczyć. To samo z miłością: aby zdobyć miłość, trzeba mieć specjalne uzdolnienia. Jeśli na dodatek jest się medalistą... Jasne, iż sukcesy swoje Siedmioniuch zawdzięcza także faktowi, że jest psem medalistą. Gdyby on, Sto Tysięcy Barbarzyńców, był psem medalistą... Ale byle kto nie może być medalistą.

Tak oto medytuje, smutny, na tej pustej górze, gdzie powietrze jest tak czyste i gdzie królem jest rogaty cap.

Otóż to zdarza się w chwili, gdy wspomnienie niespodziewanej wizyty Siedmioniucha zaczyna blednąć, zaostrza się natomiast w sposób coraz bardziej dojmujący kryzys uczuciowy.

Samotną górę przykrywa granatowa bezchmurna kopuła, nabijana rozmigotanymi słońcami. Luna wschodzi ociężale, pozdrawiają ją bzykania i cykania. Sto Tysięcy Barbarzyńców widząc, że horyzont blednie, celuje mordką w sosnowy las; zdecydowany jest trwać w nieufności. Ale słowa Siedmioniucha — „uważam, że powinieneś pogodzić się z Luną” —

szczekają mu jeszcze w uszach. Więc dobrze: okaże Lunie trochę zaufania!

Już jedyna źrenica błyska przyjaźnie w makabrycznej orbicie wojennej czaszki, już Sto Tysięcy Barbarzyńców kołysze ogonem, gotów do pojednania, gdy w przepastnej wielkiej oddali spostrzega rozcinające czerń nocy dwa błędne snopy żółtego światła; potem z tła brzęczeń i cykań wyróżnia narastające, mechaniczne zawodzenie, punktowane chwilami ciszy. Wreszcie oślepiające snopy żółtego światła padają na zakręt drogi.

„Ludzie!...”

Oczywiście, ludzie; jest ich dwóch. Bez pośpiechu wysiadają z jeepa i zaczynają rozmowę w potężnym blasku reflektorów i łagodnym świetle Luny, spoglądając często w stronę Stu Tysięcy Barbarzyńców, który także patrzy na nich zastygły na skale, z ogonem podkulonym. Skończywszy rozmowę, gratulują sobie — jeden z nich trzyma lewą rękę w kieszeni płaszcza, drugi zaś jest bardziej ożywiony, bo swobodną dłoń tamtego ujmuje w obie swoje, jak gdyby błogosławiąc jakiś układ.

Wschodzi Luna, okrągła, biała i uśmiechnięta...

Cóż, Sto Tysięcy Barbarzyńców nie czuje powołania do męczeństwa, choć życie popychało go w tę stronę. Podchodzi, gdy pokazują mu wspaniałą kawał mięsa. Mowa żołądka tak silnie zagłusza mowę pamięci, że gdy świta mu we łbie podejrzenie, iż owa przynęta może rozwiązać nowy worek z nieszczęściami — już ściskają go chude kolana jednego z tych ludzi.

I jeep toczy się podskakując po stromej drodze, toczy się gwałtownie i na krótko oświetlając głębokie wąwozy i rozczapierzone drzewa, toczy się pozostawiając za sobą rozjechane króliki.

* * *

Umieszczają Sto Tysięcy Barbarzyńców w dziwnym budynku, skąd widać morze, zdejmują zeń wojenną czaszkę i przydzielają mu Agnetę jako opiekunkę.

Wkrótce jednak Sto Tysięcy Barbarzyńców zaczyna cierpieć wyrafinowane męczarnie; zadają mu je bladzi czarownicy, od których roi się we wszystkich pomieszczeniach owego budynku (każde z nich jest osobnym salonem grozy) w godzinie, gdy słońce migotliwie odbija się w liściach drzew, nim znów oddadzą go w czułe dłonie Agnety.

Kim jest Agneta?

Agneta!... Jest dziewczyną o miękkim chodzie, ogromnych oczach i bujnej, zawsze rozwichrzonej czuprynie. W katastrofie okrętowej straciła swego ukochanego żółwia i od tego czasu nosi sukienki stosowne do jej cierpienia. Następne tragedie, które pociągały za sobą ofiary pokryte sierścią, piórami i łuskami, były pretekstem do przedłużenia żałoby. Wpadająca w histerię w obecności bladych czarowników, których zdawała się nienawidzić i głęboko obawiać, uspokajała się w towarzystwie zwierząt. Było rzeczą zwyczajną widywać ją wynurzającą się z windy z wyciągniętym ramieniem i małpką uczeponą jej szyi i rzucającą wściekłe klątwy na bladych czarowników.

Nikogo nie zdziwiła czułość Agnety dla nowego mieszkańca i smutek, który wzbudziło w niej jego przybycie.

Niekiedy Sto Tysięcy Barbarzyńców budzi się gwałtownym zrywem, w sam czas, aby zobaczyć pochylające się nad nim nienawistne postacie bladych czarowników. Nawet jeśli okropna wizja trwa tylko kilka chwil i nie poddają go nowym torturom, Sto Tysięcy Barbarzyńców znów zapada w sen nieodwracalnie już opanowany przez strach.

Życie Stu Tysięcy Barbarzyńców przez wiele tygodni upływa między pieszczotami Agnety i torturami zadawanymi przez bladych czarowników. Pies skarży się:

— Głupi byłem, że posłuchałem Siedmioniucha. Co zyskałem na pogodzeniu się z Luną? Męki jeszcze gorsze niż dawniej. Luna jest przewrotna. Nie chcę już nigdy z nią rozmawiać.

Zaraz po wyjściu ze skomleniem z pokoju okropieństw Sto Tysięcy Barbarzyńców biegnie do Agnety, która koi jego nerwy. Idzie za nią wiernie, tak jak niegdyś szedł za Luną; a gdy łagodna samica człowieka siada w jakimś zakątku parku, Sto Tysięcy Barbarzyńców kładąc brudne łapy na jej gościnnym podłożu, szcękając i machając ogonem zlizuje łzy, spływające po jej twarzy z szeroko otwartych, z udreńką wpatrzonych w niebo oczu.

Biedna przyjaciółka!... Jeszcze niedawno niespodziewanie zastał ją klęczącą u stóp białych czarowników, błagającą daremnie o jakąś łaskę; wstrząsał nią szloch. Gdyby wiedziała... Tak, albowiem on, Sto Tysięcy Barbarzyńców, postanowił uciec!

W czasie gdy dojrzewa plan ucieczki, nie umyka jego uwadze zainteresowanie, które budzi jego osoba. Pewnego wieczora otaczają go nawet kręgiem bladzi czarownicy; na moment zastygają w najdziwniejszych pozycjach, potem następują błyski i podnosi się entuzjastyczny zgiełk.

Tej samej nocy Sto Tysięcy Barbarzyńców budzi się gwałtownym zrywem, jak tyle już razy. Ale to nie bladzi czarownicy: to Agneta o wielkich, udreńczonych oczach pochyła się nad nim.

— Chodź, bracie! — mówi.

I wychodzi z dziwnego budynku, a za nią Sto Tysięcy Barbarzyńców. Docierają do ciemnego parku, w który Agneta zagłębia się niczym prześladowany duch. Sto Tysięcy Barbarzyńców w biegu triumfalnie wyszczekuje swoją radość.

— Cicho, bracie! Biegnij dalej! — rozkazuje Agneta z rozwianymi włosami.

Słychać już rozbijające się fale morskie, gdy nagle rozbrzmiewają też gniewne głosy białych czarowników.

— Biegnij, bracie!

Ale Sto Tysięcy Barbarzyńców nie zdążył już rzucić się w fale, tak jak to uczyniła Agneta o wielkich, udreńczonych oczach: liczne dłonie chwytają go i niosą z powrotem.

Luna

Jaki dziwny krajobraz, mój ty Sto Tysięcy Barbarzyńców!... Jaka cisza!... Nie ma tu brzęczenia owadów, cykania świerszczy ani rzadkich popiskiwań, ani rechotu żab, ani chłodnego szmeru strumyków, ani szumu wiatru pośród wymachujących ramionami drzew...

Sto Tysięcy Barbarzyńców kroczy lekko, niby we śnie. Jak tu niemiło!... Jego jedyne oko płonie przestraczem pod przezroczywym hełmem, który zastąpił dawną czaszkę wojenną. Tych pagórków szarych i smutnych nie weselą barwy świtu ani zmierzchu. Ani śladu eukaliptusa, kwiatu, kałuży, mrówki, ptaka, chmury... Ileż dałby Sto Tysięcy Barbarzyńców, aby natknąć się tu na jakąś żywą istotę — choćby bizona z prairii czy rogatego capa lub odrażającego grzechotnika, albo nawet człowieka! Obraca się ku firmamentowi haftowanemu lśniąco gwiazdami, unosi cierpiącą źrenicę; wyczytać w niej można trwogę, błaganie i wyrzut pod adresem niebieskiej towarzyszki, która uparła się, aby prowadzić go przez miejsca zapowietrzane udreńkami. A ona, przewrotna, teraz błękitniejąca, wschodzi majestatycznie nad skurczonym horyzontem w całej swej okazałości, dziwnie wielka; świeci coraz mocniej, odsłania się i nie witają jej brzęczenia ani cykania...

„Starzeję się w tej wędrowce!... Nawet nie ma kogo polizać!...”

Jasne, że był głupi godząc się z Luną. Luna okazała się kłamczuchą: przyobiegała mu miłość, a piętrzyła przed nim same nieszczęścia. Siedmioniuch to drugi gagatek. Lepiej byłby zrobił ów zły doradca, gdyby siedział cicho i żarł kiełbasę obok starej kobiety o przymilnej mowie. On jest winien...

W oddali, na szarym pagórku, znajoma sylwetka, nie większa od myszy, odcina się na tle błękitnego kręgu niebieskiej towarzyszki, która wschodzi powoli świecąc coraz mniej, odstawiając się...

Wewnątrz przezroczystego hełmu Sto Tysięcy Barbarzyńców nastawia uważnie uszu: dochodzą do nich naszczekiwania słabe jak rżenie...

„Siedmioniuch! Nikt, tylko on! Któż jak nie on mógłby przychodzić do mnie w odwiedziny na tej pustej górze, wśród tej absolutnej samotności. No, tym razem mu się dostanie!”

Do postawionych uszu Stu Tysięcy Barbarzyńców ciągle dochodzi, niby sygnał, coraz bliższe, ale dziwnie słabe szczekanie.

„Oczywiście, Siedmioniuch...”

Bezecna towarzyszka niebieska — gigantyczny, błękitny krąg wschodzi powoli; na szarym niebie płoną tymczasem spokojnie Chmary przepięknych gwiazd... Nie wita jej nawet świerszcz, nawet sówka! Dobrze jej tak! Wbrew zwyczajowi, ona też się nie uśmiecha. Na pewno rozdrażniło ją chłodne przyjęcie.

Ale... czy to szpetna wrogość krajobrazu sprawia, że głowa Siedmioniucha stała się tak biała, tak wdzięczna i uległa?... Czy też...

„To on... nie przynosi kiełbasy, ale to on, pies przyjaciel... Na pewno w drodze zjedli mu kiełbasę tamci — włóczędzy, obwiesie, głodomory... Ale to on, Siedmioniuch, pies rasy... Obcięli mu kudły, ot co... Zmienił się na lepsze, wygląda o wiele, wiele lepiej, ale to on, Siedmioniuch, pies przyjaciel... Tak, to chyba on... A któż miałby być?...”

I oto jeden przezroczysty hełm stuka bezgłośnie o drugi, tymczasem zaś niebieska towarzyszka — ogromna, błękitna, obojętna — nadal wolno wspina się na wygwieżdżoną czerń, i nie wita jej ani popiskiwanie, ani brzęczenie, ani cykanie.

Mędracy

— Czy nie przyzna pan, kolego, że suczka wystrzelona przez Rosjan jest o wiele bardziej udana niż nasz melancholijny poeta?

Nie odpowiadając na pytanie, Borg Helps przystaje nagle, kładzie kościstą dłoń na ramieniu, także kościstym, Jonathana Stephena Miligne, i wyciąga drugą rękę:

— Niech pan spojrzysz...

Jonathan Stephen Miligne, który z dłońmi w kieszeniach palta i z ojcowską czułością podziwiał raketę jeszcze doskonalszą od poprzednich, uśmiecha się, spuszcza wzrok, spogląda z niechęcią.

— Zdaje się, że to pies.

Borg Helps upiera się:

— Niech pan spojrzysz, kolego... Czy to zwierzę nie trzyma w pysku kiełbasy?

Jonathan Stephen Miligne, który właśnie zamierzał znowu objąć raketę ojcowskim spojrzeniem, uśmiecha się i jeszcze raz spogląda niechętnie.

— Rzeczywiście...

Nim zdążył znowu podnieść ojcowski wzrok, Borg Helps odzywa się:

— Proszę się przyjrzeć, kolego, jak on znieruchomiał, proszę przyjrzeć się dokładniej...

Jonathan Stephen Miligne uśmiecha się pobłaźliwie, przygląda się dokładniej.

— Rzeczywiście... Co za bezruch! Jaka uwaga!... Jakby dostrzegał psy na horyzoncie.

Na to Borg Helps do ucha swego towarzysza, z chytrym uśmiechem na wargach:

— Właśnie, na horyzoncie. Ale niech pan popatrzy uważnie, kolego, bardzo uważnie...

Jonathan Stephen Miligne uśmiecha się, wzdycha, patrzy uważnie, bardzo uważnie.

Potem obaj staruszkowie, wybuchając mądrym śmiechem, podejmują swoją nocną przechadzkę.

Siedmioniuch wypuścił z pyska kielbasę i wyje teraz ponuro do wschodzącego księżycyca.

POSŁOWIE

Nie ulega wątpliwości, że *Wesele Stu Tysięcy Barbarzyńców* jest utworem intrygującym. Jak określić, jak zakwalifikować tę niewielkiej objętości opowiastkę? Wydawca portugalski pisze o niej tak:

„*Wesele Stu Tysięcy Barbarzyńców* jest baśnią przepojoną liryzmem albo pełną fantazji satyrą, nade wszystko jednak — melancholijnym hymnem do miłości i przyjaźni. Opowiada nam o dziwnych stosunkach łączących pewnego bezdomnego psa z Księżycem, zadzierzgniętych w starożytnym Rzymie cesarów, w owych niespokojnych czasach gladiatorów, niewolnictwa i legionów w marszu, i zakończonych w sposób wzruszający w naszych mądrych czasach rakiet atomowych, komputerów i skażenia środowiska — czasach w końcu nie mniej niż tamte niespokojnych, gdy człowiek z ciekawością i zachłannością pioniera zapuszcza się w otchłanie nieskończoności. Według Fernanda Namory, oglądamy w tej książce inną stronę gorzkiej, nigdy bezzasadnej zgryźliwości Altina do Tojal, a przede wszystkim wspaniałą erupcję fantazji, która ukazuje nam «to, co ludzkie» w mało jeszcze zbadanych, znaczących perspektywach”.

Tę charakterystykę można rozwinąć i uzupełnić. I tak miast słowa satyra lepiej chyba w odniesieniu do *Wesela Stu Tysięcy Barbarzyńców* użyć słowa persyflaż: autor z właściwą sobie ironią, przechodzącą niekiedy w jawne szyderstwo, lecz osobliwie stowarzyszoną z nutą liryczną, przedrzeźnia zarówno pewien sposób pisania o historii, jak i samą historię, przydając jej cech groteskowych. Jakże zabawna, a jednocześnie pełna właśnie szyderstwa jest ambiwalencja groźnego przeciwnika Rzymu, okazującego się już to hordą dzikich barbarzyńców, już to nędznym, zapchlonym, jednookim kundlem! (Nadmieśmy *en passant*, że — w odróżnieniu od innych krajów romańskich — w Portugalii istnieje wśród historyków i pisarzy pewna tradycja nader krytycznego oceniania skutków rzymskiej kolonizacji: Aquilino Ribeiro na przykład uważał ją za śmiertelny cios zadany historycznej szansie wytworzenia się oryginalnej państwowości i narodu luzytańskiego w oparciu o żywioły miejscowe, celtibero-germańskie). Wróćmy jednak do tego, co zdaje się być w naszej „baśni” (chwilami, przynajmniej, dość okrutnej) najbardziej intrygujące, czyli do symboliki tytułowego bohatera. W wędrującym swobodnie poprzez wieki i przestrzenie kundlu, beznadziejnie zakochanym w ślicznej białej suczce, pierwszym rzutem oka można by dostrzec symbol tego, co w naturze człowieka wolne, spontaniczne („dzikie”), nie dające się ujarzmić i nie poddające się ostatecznej rozpacz, chociaż następujące po sobie różne historyczne formy antyhumanitarnego „establishmentu” usilnie ów żywioł prześladowają i starają się go zniszczyć, a przynajmniej zneutralizować („ucywilizować”). Tutaj pierwiastek ów ukonkretnia się jako poszukiwanie miłości i dobra.

Ale symbolika *Stu Tysięcy Barbarzyńców* nie jest do końca określona i zapewne można odczytywać ją inaczej. Takie jej potraktowanie przez autora nasuwa mi pewne przypuszczenie, o którym niżej. Tymczasem zauważmy, iż w trakcie lektury nieraz odnosi się wrażenie, że Tojal pisał tę baśń „dla siebie”, podobnie jak to było ze zbiorem opowiadań *Os Putos* (1964), najgłośniejszym dotąd osiągnięciem twórczym autora. Oto co mówi on na ten temat:

„Dobrze mi robiło pisanie go, czy też raczej wyszarpywanie z siebie w kamienistych górach, pełnych słońca i grania cykad, pośród kóz, których strzegłem — a potem w czasie wędrowek przymusowej, potajemnej emigracji, w więzieniach hiszpańskich, w więzieniach portugalskich, w brudnej knajpie, w hałaśliwej kawiarni, w wojskowym lazarecie, na brzegu iskrzącego się strumienia, w sali biblioteki publicznej, w czasie zebrań wesołych spryciarzy, w niezmiernej samotności wynajętego pokoiku; tak, dobrze mi to robiło, bo gdy usiłowałem — z mizernym skutkiem — uciec przed głodem i upokorzeniami, nie mając drzwi, do których mógłbym zastukać, poza moimi własnymi drzwiami, przerzucając się od podziemnego niepo-

koju mrówki do świetlistych rozkoszy cykady, otrzymując i rozdając kopniaki w tyłek, spostrzegłem, że ulegają sublimacji wyrzeczenia, których znoszenie w innym wypadku wymagałoby większego stoicyzmu niż ten, na jaki mnie stać”.

A więc pisanie dla siebie jako ucieczka w dziedzinę wolności suwerennej, wewnętrznej, jako sposób na przetrwanie. Czterdziestojednoletni autor z Bragi, mający za sobą lata burzliwe i trudne, dziś już może użyć swej sztuki także dla własnej zabawy. Istotnie, sędzę, że zwłaszcza konstruując symbolikę tytułowego bohatera swej powieści jako otwartą i wieloznaczną, Tojal ujawnia postawę ludyczną. Ujawnia ją także sposób konstruowania przezeń fabuły: jest ona grą elementów, obrazów, tropów, sytuacji czy sylwetek ludzkich znanych z literatury, popularnych opracowań historycznych, wreszcie ze współczesnych gazet. Są to elementy literacko „stypizowane”, by nie rzec sztampowe; Tojal zestawia je z sobą nieledwie jak klocki, a przecież według konsekwentnego planu. Plan ten kreśli fantazja autora, która w *Weselu Stu Tysięcy Barbarzyńców* uzyskuje stopień autonomii rzadko spotykany we współczesnej literaturze portugalskiej.

Ireneusz Kania

Spis treści

Część pierwsza	
Figulus	02
Exodus	05
Rzym	07
Wojna	08
Spotkanie	11
Defilada	13
Męka	14
Część druga	
Wędrowiec	17
Siedmioniuch	19
Zerwanie	22
Odwiedziny	24
Uwięzienie	26
Luna	28
Mędracy	29
Posłowie	31